Nr. 38. Warszawa, dnia 11 (23) Września 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

SPISEK POD SĄDEM.

Jakikolwiek będzie los dalszy gabinetu Waldeck-Rousseau'a, cokolwiek ten gabinet zrobi lub zrobić zaniedba — jeden przecież czyn przezeń spełniony pozostanie od jego istnienia w historyi Francyi nieodłącznym: wykrycie, schwytanie i osądzenie spisku orleanistowskiego, który był już bardzo blizkim wybuchu. Dopóki żył Faure, a na czele rządu stał p. Méline, dopóty sprawa Dreyfusa dawała spiskowi temu wyborne pozory, grubą skorupę z miłości ojczyzny i armii, z czystego przywiązania do sprawiedliwości, przez Żydów umęczonej, z pewnych wreszcie dążności czysto społecznych, zbyt tylko namiętnie przeprowadzanych. Nikt w rządzie francuskim nie był wówczas dość ciekawym zajrzeć pod zasłonę antisemityzmu i z pod jawnych wichrzeń o Dreyfusa wydobyć na światło tajemne knowania na rzecz monarchii, mającej zepchnąć rzeczpospolitą. Nic zaciekawiły również, nie poruszyły nieustanne hałasy i niepokoje, robione metodycznie, i następcy p. Méline'a, Karola Dupuy; dopiero zmiana czerwcowa przyniosła prąd nowy. Waldeck-Rousseau, głośno obronę rzeczypospolitej wziąwszy odrazu za hasło, wiary mu dotrzymał: wygrzebał żar podłożony pod dzisiejszą formę państwa francuskiego.

Aresztowania dokonane w lipcu, przejęte zwłaszcza listy, stwierdziły istnienie rzeczywistej zmowy na obalenie rządów republikańskich, republikańsko-parlamentarnych i zaprowadzenie monarchicznych a nie-parlamentarnych. Dwa były główne ogniska całej podziemnej roboty: liga patryotyczna i liga antisemicka wraz ze swemi rozgałęzieniami po prowincyi. Z obu tych lig dęły na Francyę wszystkie nienawiści, fałsze, głupstwa szerzone podczas sprawy Dreyfusa dla ukrycia istotnego celu, którym było zwalenie rzeczypospolitej. Liga patryotyczna, słuchająca Deroulede'a, wyrwała się przedwcześnie z improwizacyą czynu po pogrzebie Faure'a. Liga antisemicka umiała czekać i robić i pozorami robotę osłaniać. Na czele jej jako jeden z głównych, jeśli nie jedyny, stał ów historyczny Guérin, który nareszcie d. 20 b. m. po pięciotygodniowem oblężeniu poddał rządowi francuskiemu od imienia jego lub ulicy nazwany „Fort Guérin“ albo „F. Chabrol.“ Dla tej ligi ustawienie tronu i posadzenie na nim ks. Filipa Orleańskiego, najstarszego syna hr. Paryża, było rzeczą główną: patryoci zmierzali bezpośrednio do wywrócenia tego, co jest, mniej dbając o to, co będzie. Przyszłe to coś niekoniecznie miało być monarchią orleanistowską, mogło być i imperializmem, po raz drugi wskrzeszonym.

D. 18 b. m. zebrał się senat, zwołany d. 4 b. m. przez rząd, a powołany przez dopełnienie konstytucyi z 1875 r. do sądzenia spraw politycznych. Śledztwo, przeprowadzone przez sędziego Fabre'a, wykryło w Paryżu i po całej Francyi 44 spiskowców. Prokurator przy tym sądzie najwyższym akt oskarżenia utrzymał przeciwko 22 lub 23. Na czele wszystkich robót stał Andrzej Buffet, mający oryginalny w rzeczypospolitej urząd dyrektora biura politycznego księcia Orleańskiego w Paryżu, a zaraz przy nim stał hr. Sabran de Ponteves, redaktor jakiegoś „Clairon de la Villette.“ Najwybitniejszymi przez stanowisko społeczne są Déroulede, Habert i de Reunel, deputowani. Spory udział w knowaniach wzięła młodzież, a przewodził jej Dubuc, prezes ligi młodzieży antisemickiej, czynny, ciężką winą obciążony. Wciągano w roboty i lud; tu odznaczył się prawie wyłącznie zawód rzeźniczy: kilku rzeźników i handlarzy bydła siedzi w więzieniu. Andrzej Buffet znosił się bezpośrednio z księciem Orleańskim: przesyłał mu wiadomości i otrzymywał wskazówki i polecenia. W lecie i na jesieni 1898 r. liczono na robotników paryskich. W styczniu i lutym propaganda była już bardzo żywą. Guerin jeździł do Brukseli dla zobaczenia się z pretendentem. W pierwszej połowie lutego sam pretendent w San Remo odbył naradę z royalistami i zarządził kolektę, która dała 400,000 fr. Miano już wtedy gotową listę głównych urzędników przyszłej monarchii, zwłaszcza policyi w Paryżu. W pierwszych dniach czerwca „dyrektor“ Buffet telegrafuje dwukrotnie do pretendenta, aby się zbliżył do granic Francyi, a jednocześnie Christiani urządza napaść brutalną na Loubeta w Longchamps.

Guerin miał u siebie laboratoryum spisku na Paryż; ściągał tu niższych i wyższych, rozum kierający i pionki kierowane, a przed wybuchem ostatecznym urządzał manifestacye przygotowawcze, mające wartość reklam dla ściągania łatwowiernych. Czynem takim szerzono propagandę przedewszystkiem — lekceważenia rzeczypospolitej; słowem najenergiczniej pracę tę spełniał Déroulede: jego mowy z lipca prokurator przytacza za dowód dążeń wywrotowych. Według brzmienia aktu oskarżającego, usiłowania spiskowe nie udały się tylko wskutek okoliczności od woli spiskowców niezależnych. Czyny wykryte układają się w dwie całości: 1) spisek dla wywołania przewrotu i pobudzenia

obywateli do walki zbrojnej z władzą konstytucyjną narodu; 2) przygotowanie już czynne zamachu na rząd istniejący dziś we Francyi. Co do Guérina i jego towarzyszów, jest jeszcze punkt trzeci: 3) bunt zbrojny i usiłowanie morderstwa.

Senat z aktu oskarżenia wziął tylko pochop do wytoczenia własnego śledztwa, potem dopiero postanowi względem samego sądu. Prezesem komisyi śledczej został Berenger, człowiek pewny: na 278 obecnych senatorów 32 głosowało przeciwko dochodzeniu: ci zatem sami zasiedli na ławie oskarżonych jako burzyciele: inni obowiązek swój spełnią. Obrońców — a jest ich, dla pompy i zadowolenia, cały legion, aż 66—dopuszczono do śledztwa. Jest to przywilej, z jakiego we Francyi nie korzysta zwykły przestępca. To nie będzie sąd serbski. W końcu października może być już wyrok.

Tydzień polityczny. Anti-rewizyoniści, w najruchliwszym korpusie swym znieruchomieni teraz przez proces w pałacu luksemburskim, nie będą potrzebowali biadać nad łagodnością wyroku w Rennes i większą jeszcze łagodnością kary na Korsyce: d. 19 b. m. Loubet ułaskawił Dreyfusa. Proces zbyt żywo zajmuje monarchistów różnych autoramentów, od poetyckiego zacząwszy, na rynsztokowym skończywszy, aby z tej łaski wziąć mogli pochop do nowego wichrzenia. Nie tyle czekająca spiskowców kara, nie tyle więzienie, w którem dwudziestu kilku ich przebywa, ile zdradzone stosunki, odsłonione osobistości, oświetlone zakamarki i lochy — smutkiem i gniewem cały ten wrzeszczący i ujadający obóz przejmować muszą.

Transwal odpowiedział nadzwyczaj łagodnie, ale odmownie na brutalne żądania Salisburego i Chamberlaina, zmierzające wprost do schwytania maleńkiej rzeczypospolitej na arkan przemocy, z całym bezwstydem wywieranej. Rada gabinetowa w Londynie ma się zebrać i naradzić nad *ultimatum*. Boerowie sprzymierzeni z Oranje spokojnie patrzą w oblicze wojny. Zbroją się i ćwiczą. Idzie im o życie; jeśli politycznego nie ocalą, moralne przez męztwo w nieśmiertelność spotęgują. A i to coś znaczy — i to zaważy, gdy przyjdzie chwila dziejowej pomsty czy odpłaty. Świat patrzy się i przygląda z kamiennym spokojem, zaprzedane dziennikarstwo umywa ręce wobec wrzekomego obłędu czy zuchwalstwa Transwalu, i nikt nie myśli o odwróceniu rozboju.

W Serbii rozbój innego rodzaju. Wyrok pewny, choć wina niedowiedziona. Nie ujdzie on jednak Milanowi bezkarnie: dyplomacya wyrzuci go z Belgradu. Paryskie *cafés chantants* już na niego czekają.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Co robić?

II.

Odpowiedzią p. Rosenblumowi na pytanie sentymentalne mogą być następujące cyfry, które on zna wybornie. Towarzystwo sosnowickie, wytwarzające 40% ogólnej ilości węgla, dawało dywidendy około 8%, Towarzystwo warszawskie około 9%, inne — w tym samym stosunku. Takie były zyski dawne. Obecne zatem, które p. Rosenblum nazywa „korektywą,“ są prostym rabunkiem. Masy ludności bezsilnej, oddanej na pastwę z jednej strony przedsiębiorców kopalnianych, z drugiej — pośredników, tj. posiadaczów składów węglowych — jest w położeniu rozpaczliwem. Ceny węgla, już dziś zanadto wysokie, mają wzrosnąć jeszcze bardziej; ceny drzewa po wprowadzeniu ochrony leśnej poszły tak wysoko, że niepodobna już marzyć o tym środku opałowym.

Drożyzna węgli zwróciła uwagę p. Głównego Naczelnika kraju, który polecił zbadać stan rzeczy dokładnie na miejscu. Rezultat tych badań ogłosił świeżo *Warszawskij Dniew*. Szczegóły te mają tak doniosłe znaczenie, że uważamy za konieczne podać je chociaż w streszczeniu. Otóż rezultaty badań dowodzą, że obecnie rozmiary produkcyi w kopalniach dąbrowskich nie odpowiadają wcale zwiększonemu zapotrzebowaniu w całym kraju. Przy zestawieniu produkcyi przeszłorocznej z tegoroczną ujawnia się prawie zupełny zastój wytwórczości. Powierzchowny rzut oka na przestrzeń pokładów w zagłębiu przekonywa, że niespełna trzecia część ogólnej liczby obszarów jest rzeczywiście eksploatowana, stosunkowo zaś nieznaczna część jest powoli przygotowywana do eksploatacyi w przyszłości; cały zaś ogromny obszar leży dotąd nietknięty, jako martwy kapitał. Stan taki nie może i nie powinien trwać dłużej, tem bardziej, że według przepisów ustawy górniczej, „we wszystkich oddanych do eksploatacyi przestrzeniach pokładów powinno być dokonywane wydobywanie ciał kopalnianych za pomocą prawidłowych robót górniczych, albo przynajmniej należy czynić przygotowania do tych robót. W przeciwnym razie przedsiębiorcy górniczy tracą prawo do zakreślonych im obszarów.“ Badania stwierdziły, iż oprócz zastoju w eksploatacyi, kopalnie, czynne obecnie, nie powiększają prawie wcale swej produkcyi i nie mogą zaspokoić szybko wzrastających potrzeb chwili bieżącej. Z tego powodu ciągle wzrasta przywóz węgli zagranicznych.

Ze względu na brak inicyatywy ze strony właścicieli kopalni, władze, jak pisze *Warsz. Dn.*, postanowiły chwycić się środków pobudzających, któreby pchnęły przemysł węglowy na drogę rozwoju i doprowadziły produkcyę kopalni istniejących do takiego stanu, aby mogły w zupełności zaspokoić potrzeby. Jednym z takich środków ma być zastosowanie nieprzestrzeganych dotąd przepisów ustawy górniczej. „Znaczne podniesienie cen węgli w miejscach produkcyi — pisze *War. Dn.* — nie znajduje żadnego uzasadnienia, gdyż koszt eksploatacyi nie podniósł się w tym stosunku. Nie mógł on uledz znacznej zmianie w tak krótkim przeciągu czasu, sama produkcya nie wzrasta pod różnymi, łatwymi do usunięcia pozorami, a tymczasem ceny podnoszą się niezmiernie i pewna kuratela rządowa nad działalnością przemysłowców węglowych staje się rzeczą niezbędną.“

Wit de Maupassant

NIEWIDOMY.

Czem jest ta rozkosz słonecznego dnia? Czemu to światło spadające na ziemię napełnia nas taką radością życia? Niebo jest całe błękitne, pola zielenią się, domy bieleją; nasze oczy piją z zachwytem te żywe barwy i napełniają wesołością nasze dusze. Czujemy chęć tańczenia, biegania, śpiewania, szczęśliwą lekkość myśli, rodzaj bezkreśnego rozczulenia; chcielibyśmy ucałować to lube słońce.

Niewidomi stojący u wrót, pogrążeni w wieczystym swym mroku, są spokojni, jak zawsze, wśród tej nowej radości i wstrzymują co chwila swego psa, który z nieznanych im przyczyn chciałby wciąż skakać.

Gdy wracają u schyłku dnia, wsparci o ramię młodego brata lub młodej siostry i dziecko mówi: „Dziś było tak ładnie,“ ślepiec odpowiada:

- Zauważyłem to. Musiało być ładnie bo nie mogliśmy Lulusia utrzymać na miejscu.

Znałem jednego z tych ludzi; życie jego należało do najsroższych męczarni, jakie można wymyśleć.

Był to wieśniak, syn fermera normandzkiego. Póki żyli rodzice, troszczono się o niego jako tako; cierpiał jedynie z powodu strasznego kalectwa. Ale gdy ci zmarli, rozpoczęło się okropne istnienie. Wzięła go do siebie jedna z siostr i zaraz wszyscy z fermy zaczęli obchodzić się z nim jak z żebrakiem, który je cudzy chleb. Przy każdym obiedzie wypominano mu jadło: nazywano go nieponiem i darmozjadem; a chociaż mąż jego siostry zarządzał jego udziałem, dawano mu z żalem zupę i wydzielano jej zawsze ledwie tyle, aby nie umarł z głodu.

Miał twarz zupełnie bladą i dwoje dużych oczu, białych jak opłatki, a zachowywał taki spokój w chwili obelg, okazywał się tak zamkniętym w sobie, że nie wiedziano, czy je czuł. Nigdy zresztą nie zaznał tkliwości, bo matka nie lubiła go i obchodziła się z nim zawsze trochę rubasznie; albowiem na wsi niepożyteczni są szkodliwymi i wieśniacy normandzcy postępowaliby chętnie jak kury, które zabijają kaleki w swoim rodzie.

Zjadłszy polewkę, ślepiec siadał latem przed drzwiami, zimą przy piecu i nie ruszał się do wieczora. Był jak posąg, tylko powieki, wstrząsane jakiemś nerwowem cierpieniem, spadały niekiedy na białą plamę jego oczu.

Czy miał on umysł, myśl, jasne poczucie swego życia? Nikt nie pytał o to.

Tak było przez lat kilka. Ale jego niezdolność do pracy, jako też jego posągowość rozgniewały nareszcie krewnych: stał się więc popychadłem, pewnego rodzaju pośmiewiskiem, ofiarą rzuconą na łup wrodzonej dzikości i brutalnej wesołości prostactwa, które go otaczało.

Wymyślono wszelkie okrutne psoty, do jakich może pobudzić ślepota. Ażeby zaś wynagrodzić sobie ubytek podawanego mu jadła, uczyniono z godzin jedzenia kaleki godziny rozrywki dla sąsiadów i męczarni dla ślepca.

Wieśniacy z sąsiednich domów przybywali do jego mieszkania dla rozrywki. Zwoływano się od bramy do bramy i kuchnia fermy była codzień pełna w porze objadowej.

Wtedy kładziono na stół przed talerzem, skąd zaczął już jeść rosół, psa lub kota. Zwierzę odgadywało instynktowne

Nowela ta wchodzi w skład świeżo wydanego, pośmiertnego zbioru nowel Maupassanta p. t. „Ojciec Milon“ (Le père Milon).

Na podstawie świeżo zbadanej sprawy węglowej *Warsz. Dn.* w następujący sposób wyświetla zakulisowe strony handlu węglem: „W razie zawarcia z kopalnią umowy na zasadzie najwyższej z notowanych obecnie cen, wagon węgli, zawierający średnio 610 pudów, kosztuje handlarzy z dostawą do Warszawy niecałe 85 rb. Dodajmy jeszcze, że wielu handlarzy otrzymuje węgiel na zasadzie dawniejszych kontraktów w cenie 77—78 rb. Licząc hojnie koszt przewozu do składów i dochód handlującego, cena korca nie powinna przekraczać średnio 95 kop. w sprzedaży cząstkowej. Cała zaś nadpłata jest ujętą już w system i zorganizowaną prawidłową spekulacyę handlujących. Całą niemal produkcyę węgli, po odliczeniu dostaw dla kolei i fabryk, zakupuje z góry kilku znaczniejszych składników, niemieszkających wprawdzie w Warszawie, lecz prowadzących handel nietylko w całym kraju, ale i po za jego granicami. Mając codziennie do rozporządzenia znaczną liczbę wagonów węgli, rozdzielają po wzajemnem porozumieniu się samowolnie tę ilość między poszczególne miasta, nie licząc się z istotnemi ich potrzebami, i umyślnie podważają stałość cen jedynie w widokach spekulacyjnych. W Warszawie spekulacya ta przeistoczyła się w prawidłowy system gry na zwyżkę na t. zw. giełdzie węglowej, istniejącej prywatnie na stacyach towarowych. Szerzeniem niedorzecznych pogłosek i z pomocą innych fortelów, do których należy także zatrzymywanie wagonów w drodze na stacyach pośrednich, znaczniejsi handlarze podnoszą solidarnie ceny przy odprzedaży węgli drobnym aferzystom, których pierwotnie urządzone składy są rozrzucone po całem mieście. Ci ostatni są całkowicie zależni od trzech lub czterech wielkich składników, którzy, mówiąc nawiasem, niechętnie zapełniają swe składy, oddając pierwszeństwo łatwiejszemu zarobkowi przy spekulacyjnej sprzedaży węgli.

Detaliczna atoli sprzedaż węgli, którą zarząd miejski zaprowadzi w najbliższej przyszłości, w związku z innymi przedsiębranymi obecnie środkami, położy kres wykrytym nadużyciom i, zapewniwszy Warszawie i innym miastom w kraju dostateczne zapasy, zapobiegnie powtórzeniu się w przyszłości przesileń węglowych."

Takie są różowe wróżby na przyszłość. Nie trzeba jednak zbytnio ufać tym środkom, bo spekulacya znajdzie nowe drogi. Natomiast niezależnie od zarządzeń powyższych niezbędne są inne środki walki.

Trzeba tedy działać energicznie, pospiesznie i zbiorowo rozmaitemi drogami. Jedna z nich — to zniżenie ceł od węgla zagranicznego; druga — zorganizowanie środków produkcyi w dziedzinie bardzo mało dotąd uprawianej. Kraj nasz posiada olbrzymie torfowiska, nietknięte wcale. Wprawdzie na wystawie radomskiej tu i owdzie widzieliśmy cegiełki torfowe, dowiedzieliśmy się, że niektóre cukrownie używają z powodzeniem torfu na opał. Ale są to wszystko próby doryweze. Zobaczmy, co posiadamy: P. Piotr Isajewicz w pracy swojej p. t. „Co trzeba dla naprawy warunków ekonomicznych Królestwa Polskiego" *), wskazuje owe bogactwa w naszym kraju. Największe pokłady torfu zajmują olbrzymie przestrzenie w guberniach Suwalskiej i Łomżyńskiej, w dolinach rzek Bzury, Pilicy, Przemszy i Wieprza. Wogóle torfowiska większe lub mniejsze istnieją *prawie wszędzie* w Królestwie Polskiem. Posuwając się od Warszawy ku wschodowi, znajdujemy bardzo duże pokłady torfu: w Otwocku (stosunkowo jeszcze młody, włóknisty, posiada właściwości dezynfekcyjne); w majątku Pogorzel torf bardzo stary, jest wybornym materyałem opałowym; w miejscowości Szalone-Bagno — jeszcze lepszy na ten użytek, lecz dotąd wcale nieeksploatowany z powodu złej komunikacyi. Za granicą te nieocenione zasoby ziemne potrafiono już świetnie wyzyskać pod każdym względem. Są tam nietylko fabryki, wyrabiające paliwo torfowe, lecz nadto rozwinął się przemysł przetwórczy w najróżnorodniejszych postaciach. We Francyi, Holandyi, Holsztynie i różnych dzielnicach Niemiec doprowadzono tę gałąź produkcyi do najwyższej doskonałości, rolnicy zaś ciągną stąd znaczne zyski i dają zarobek masom ludności. U nas zaś wydobywanie i przetwarzanie torfu odbywa się albo w sposób pierwotny, albo na małą skalę. W Pogorzeli i innych miejscowościach wyrabiane są cegiełki na opał. Właściciele ziemscy produkują tu i owdzie torf prasowany, włościanie zaś—zwyczajne cegiełki. Przytem do wydobywania torfu niektórzy posługują się bardzo praktyczną maszyną Brossowskiego. Po za tem torf, jako środek surowy do wydobycia innych produktów, małe ma u nas zastosowanie. Tymczasem chcąc z powodzeniem rozwinąć tę gałąź przemysłu na wielką skalę, tak iżby dało się wszystkie rynki zapełnić tanim opałem, trzeba wyzyskać ten produkt wszechstronnie. Zobaczmy, co on daje za granicą: Sześcienny sążeń torfu suchego, wagi 150 pudów, daje: 150—750 funtów amoniaku (od 12 rb. 30 k. do 61 rb. 50 k. za pud, przeciętnie 36—37 rb.). Za granicą za 100 kilogramów tej soli płacą 50 franków. Produkt ten ma szeroki zbyt i zajął w handlu miejsce poważne. Ceny jego są notowane nietylko w organach handlowych, lecz i specyalnie giełdowych. Oprócz amoniaku torf daje 5—7% smoły (przeciętnie 45 garncy z sążnia sześciennego), która przy odpowiedniej dystylacyi daje 5 garncy smoły, tyleż benzyny, 10 funtów oleju oświetlającego, 10 garncy smaru i — parafinę. Prócz tego z torfu wyrabia się gaz, używany w fabrykach jako opał, wreszcie koks torfowy.

Tak wszechstronnie rozwinięta fabrykacya u nas wytworzyłaby olbrzymią gałąź przemysłu, który podnosząc ogólny stan ekonomiczny kraju, jednocześnie wypowiedziałby skuteczną walkę wyzyskowi i rabunkowi kopalni węgla i tem samem

*) Praca ta wyszła po rosyjsku w Warszawie 1893 r.

---

ułomność człowieka i zbliżywszy się ostrożnie jadło bez szmeru: a gdy głośniejsze jego mlaśnięcie językiem obudziło uwagę niewidomego, usuwało się zwinnie, żeby uniknąć uderzeń łyżką.

Wtedy śmiano się, trącano się łokciami, tupano nogami w całej kuchni. A on nie mówiąc ani słowa, zaczynał znowu jeść prawą ręką, podczas gdy lewa osłaniała talerz.

Innym razem dawano mu do jedzenia korki, drzewo, liście, a nawet śmiecie.

Wreszcie znużono się żartami. Szwagier rozwścieklony, że musiał go karmić, bił go, policzkował, drwił z nieudanych wysiłków, które czynił ślepy, aby oddać uderzenia lub aby ich uniknąć. Wówczas wymyślono nową zabawę. Parobcy, rataje, dziewki służebne przykładały mu co chwila lżej lub cięższej swoją rękę do twarzy. To wywoływało zawsze przyspieszony ruch jego powiek. Nie wiedział, gdzie się schować i stał nieustannie z wyciągniętemi ramionami, aby uniknąć obcych dłoni.

Nareszcie zmuszono go do żebrania. Ustawiano go na drogach w dni targowe i skoro tylko posłyszał odgłos kroków albo turkot wozu, wyciągał swój kapelusz jąkając:

— Litości, jeśli łaska.

Ale chłop nie jest hojnym i przez całe tygodnie nieszczęsny nie przynosił ani grosza.

Natenczas wyrodziła się przeciw niemu zawzięta, twarda nienawiść. Rodzina skazała go na śmierć.

Była zima; ziemię okrywał śnieg, mróz doskwierał. Otóż pewnego dnia szwagier niewidomego wyprowadził go bardzo daleko, na gościniec, aby tam prosił o jałmużnę. Zostawił go na cały dzień, a gdy zapadła noc, wyszedł na jakiś czas, lecz wcale nie w miejsce, gdzie zostawił kalekę. Poczem oświadczył swoim ludziom, że go nie znalazł.

— Ba — dodał — niema czem się kłopotać; ktoś wziął go zapewne z sobą, bo było zimno. Nie zginie! Wróci pewnikiem jutro na polewkę.

Nazajutrz nie wrócił...

Po długich godzinach czekania, ślepiec zmarznąwszy i czując grożącą mu śmierć, począł iść. Nie mógł odnaleźć drogi zagrzebanej pod lodem, błąkał się więc to w tym, to w owym kierunku, padał w rowy, wstawał zawsze niemy, zawsze szukając domu.

Lecz powoli ziąb obezwładniał go i wkrótce znużone nogi nie mogły go unieść. Usiadł na środku równiny i już nie podniósł się.

Białe, ciągle padające płatki zagrzebały go. Sztywne jego ciało znikło pod ich nawałem. Okryły go wkrótce tak, że nic nie zdradzało miejsca, gdzie znajduje się trup. Krewni udawali przez tydzień, że szukają go skwapliwie. Widziano ich nawet płaczących.

Zima wciąż trzymała się mocno i odwilż nie nadchodziła. Otóż pewnej niedzieli, idąc na mszę, fermerzy zauważyli wielkie stado kruków, krążące bez przerwy nad równiną. Potem, jak czarny deszcz, ptactwo opadło kupą na jedno miejsce, żeby zerwać się znowu i znowu spaść.

W następnym tygodniu ciemne ptaki jeszcze nie znikły. Przeciwnie, zlatywały się ich chmary ze wszystkich zakątków widnokręgu; opuszczały się z głośnym krzykiem w błyszczący śnieg.

Pewien wyrostek poszedł popatrzeć, co one robią i odkrył ciało niewidomego, napół już rozszarpane. Blade oczy znikły, wyrwane przez długie, żarłoczne dzioby.

I nigdy nie mogę uczuć żywej wesołości dni słonecznych, abym nie wspomniał melancholijnie tego biedaka, tak wydziedziczonego przez życie, którego straszna śmierć była ulgą dla wszystkich bliskich...

Tłom. *W. Bagiel.*

przyszedłby z wielką pomocą ogółowi wyzyskiwanemu. Ale na to potrzebna jest działalność zbiorowa: zawiązanie wielkiego towarzystwa. Ponieważ posiadaczami torfowisk są ziemianie, więc im tę sprawę polecamy. Nie jest to środek doryweszy: wymaga on wielkiej energii, zabiegów i dłuższego czasu (między innemi potrzebne fachowe obeznanie się z przedmiotem). Ale przecież i wyzysk węglowy nie jest doryweszym, lecz wlecze się lata całe i jeszcze długo zapewne będzie panował. Trzeba więc myśleć o uwolnieniu mas ludności od tej klęski nietylko dzisiaj, lecz i na przyszłość, bo inaczej dzwoniąc zębami z zimna, będziemy słuchać ciepłych piosnek p. Rosenbluma na nutę obywatelską.

Z GALICYI

Jak wyglądają stosunki wewnętrzne w Austryi. — Plany polityczne Prusaków. — Dwie zasady naszego życia. — Brak szkół, nauczycieli i seminarya żeńskie. — Prezydent Małachowski i jego chwiejne stanowisko.

Chaos państwowy w dzisiejszych politycznych stosunkach w Austryi nie jest niczem niespodziewanem. Szła ku niemu ona oddana powolnymi kroki przez obłudę, nieszczerość i chwiejność swoich mężów stanu. W tem różnojęzycznem państwie nie mieli oni żadnego oparcia, ale też i nie dążyli do wytworzenia trwałych i uczciwych fundamentów państwowych. Rządzono tu zbyt długo według zasady: *divide et impera*, a teraz zbierają gorzkie owoce. Zaznaczałem już niejednokrotnie, iż stronnictwo niemieckie, przeważnie opozycyjne, dąży do wszechwładzy *per fas et nefas* z pominięciem praw innych narodowości, do utrzymania zatem charakteru niemieckiego w radzie i polityce. Tymczasem powrót do tych przedmeternichowskich, a nawet Bachowskich stosunków jest niemożliwy. Stanowisko prawne różnych krajików i narodów Austryi wysunęło przed forum państwowe tysiące żądań, postulatów, skarg wzajemnych, domagając się natarczywie załatwienia różnych naglących potrzeb i interesów. Tymczasem Austrya, skutkiem swojej idei przewodniej państwowej — niemieckiej, pojętej w duchu centralizacyi, zadawalającej odpowiedzi nie jest w stanie udzielić. Rząd czuje, że Niemcy są za słabi w Austryi, nawet wzmocnieni licznymi szeregami Żydów, chociaż władza w ich ręku wyłącznie pozostała, więc połowiczne ustępstwa czyni Słowianom, a obawia się, że wodze państwa raz wyszedłszy z rąk Niemców, już do nich nie wrócą. Gdybyż tylko chodziło o tak zwaną Przedlitawię, ale i węgierska połowa znajduje się w tym samym stosunku do Słowian, co i niemiecka. Wszelkie ustępstwa Słowianom w Austryi są na niekorzyść Niemców i Węgrów — nic przeto dziwnego, że wobec takiego ukształtowania się stosunków państwowych wytworzyło się poważne wewnętrzne położenie—chaotyczne dziś a groźne niepewną przyszłością. Tem bardziej, że skutkiem nietaktu rządu dotychczasowego, ciągłego wahania się w wyborze środków do czynu i dwulicowości, a często nieszczerości jawnej w postępowaniu sfer rządzących, wytworzyły się antagonizmy narodowe i walki narodowościowe, zarówno w obrębie germańsko-żydowskim, jak i słowiańskim. Rząd tego lub owego poglaszcze, uspokoi, ale poglaskaniem nierozwiązują się spory narodowościowe i nie wnoszą się żądania prawno - państwowe. Czesi i Niemcy: Polacy, Niemcy i Rusini; Słoweńcy i Niemcy: Rusini, Kroaci i Madziarowie, a wszyscy przeciwko Żydom, słowem, kto tylko zamieszkuje Austryę, z niedowierzaniem, zawiścią i złością patrzy na innych, gotów do walki w każdej chwili. W dodatku ta walka narodowościowa i polityczna, wszystkich przeciwko wszystkim, przeniosła się do armii i osłabia łącznik karności wojskowej. Rzecz to zupełnie zrozumiała. Ci, którzy byli niezadowoleni w domu, po zaciągnięciu się do wojska, nie ze swego charakteru nie tracą. Gdyby nie luźny związek za pomocą surowej dyscypliny i języka niemieckiego, nie wiem, czem byłaby armia austryacka. Państwo nie umiało wytworzyć dla niej silnego sztandaru w jakiejś idei. Słowem, jest ona takim samym zlepkiem narodowościowym jak i państwo, a w szeregach jej objawiają się prawie codziennie wypadki nieposłuszeństwa lub słychać echa walk narodowościowych.

Takie położenie rzeczy, wobec braku stanowczości i jasności politycznej w Austryi, mimowolnie zwraca na nią uwagę całego świata politycznego w Europie. Z natury rzeczy, tj. ze składu samego, powołana jest ona do utworzenia państwa federacyjnego na wzór Szwajcaryi, a tradycye niemieckie, z bardzo niewielką liczbą Niemców w państwie, ciągną ją w swoją stronę. Stąd niewątpliwie płynie panujący w stosunkach naszych rozdźwięk, ogólne niezadowolenie, waśnie narodowościowe i niesłychane zdzierstwo podatkowe. Nic dziwnego — wielkopańskie pretensye nie zawsze z prawami idą w parze, a zawsze są kosztowne. Austrya zaspakaja je na cudzy rachunek. Najgorszem jest to, że końca panującej walki wszystkich przeciw wszystkim nie widać. Dotychczas w prasie i polityce wewnętrznej austryackiej kołacze się jeden tylko projekt, który do uspokojenia państwa, krajów i narodków, składających to państwo, ma prowadzić, wyszedł on jako hasło walki i ogłasza się jako hasło zaspokojenia: precz z rozporządzeniami językowemi! Żadna inna próba poważna, żaden inny projekt nie wyłonił się. Hasło powyższe, przełożone na język zrozumialszy i realny, oznacza: reakcya, absolutyzm niemiecki, rządy mniejszości niemieckiej. Nie trzeba być bardzo przewidującym, ażeby zrozumieć, że ta droga do uspokojenia państwa i krajów nie doprowadzi, trzeba szukać innej podstawy dla porozumienia się. Nasze stanowisko wobec jednej i drugiej strony jest bardzo drażliwe. Mamy poważniejszą pracę przed sobą, niż mieszanie się do sporu czesko-niemieckiego. Pośrednictwo nasze nie zadowoliłoby ani jednej, ani drugiej strony, zresztą żadna strona o to nas nie prosi. A jednak wycofać się z tego sojuszu tak dla nas szkodliwego potrzeba. *Koło* nasze należy wprawdzie do większości państwowej, ale ta większość nie daje nam ani przewagi, ani nawet znaczenia żadnego, bo czemże może być większość, która nie rządzi i z którą nikt się nie liczy?

Bezład państwowy, będący cechą naszego życia publicznego w Austryi, we wszystkich krajach, zarówno jak w polityce wewnętrznej, podsuwa politykom niemieckim w Prusiech tematy do rozmyślań godne uwagi. Jedno z pism prusko-niemieckich, *Zeit*, w artykule ostatniego zeszytu podnosi potrzebę podziału Austryi, a raczej — zabrania jej, dla zaokrąglenia wielkiej Germanii. Apetyt Prusaków jest wcale dobry, powiadają oni bez ceremonii, że trzeba ratować Niemców austryackich, a na to jest tylko jeden sposób: dla przyłączenia sześciu milionów Niemców, wraz z Żydami, z których milion przypada na sam Wiedeń, trzeba zabrać 25 milionów Słowian. *Zeit* jest na tyle grzecznem pismem, że mówi tylko o Niemcach w Przedlitawii, Węgrów nie zaczepia, rezerwując ich jako stronę, z którą porozumieć się łatwo, oddawszy im na pastwę Kroatów, Serbów, Bułgarów, Rusinów i Bośnię wraz z Hercegowiną. Możnaby z tego wcale dobre państwo węgierskie utworzyć. Co do Austryi samej, ów polityk pruski powiada otwarcie: my sobie z nią damy radę. Przed dwoma tysiącami lat państwo rzymskie, nieposiadające ani takiej maszyny biurokratycznej, jaką nowożytne państwa wytworzyły, ani takiej organizacyi militarnej, rządziło jednak najróżnorodniejszymi narodami, dlaczegóżby nie miały sobie dać rady Prusy. Przecież o to tylko chodzi, ażeby pośród barbarzyńców zaszczepić silniej, niż się to dzieje dotychczas, kulturę niemiecką, a rozmaitym „minderwärthige” narodom, jak Polacy, Czesi, Rusini i im podobni, których literatura funta kłaków nie warta, można pozwolić „schwätzen” (gadać) w ich językach ojczystych. Komuż to może szkodzić? Prusom nic, one są przecież dość potężne. Mówię o Prusakach, gdyż w ich to tylko głowach powstają takie pomysły.

(D. n.)

Z NIEMIEC.

Berlin, 18 września.

Dymisye ministrów. — Kandydaci do wieczystego zapomnienia. — Chwalebne czyny p. Bossego. — Krótka sława podróżnika i źle umieszczony order.

Dwu statystów niemieckiej sceny politycznej, ministrów von der Recke i Bosse odprawiono z kwitkiem. Nim Leta historyczna pochłonie bezpowrotnie te imiona, warto rzucić pożegnalne spojrzenie na ich działalność. Nie dlatego, aby mężowie ci dokonali świetnych i pięknych czynów, nie dlatego, aby nadali nowy obrót polityce niemieckiej i zrosili jej glebę nowemi myślami. Bynajmniej! Jeżeli jednak zasłużyli na wzmiankę nekrologową, to jedynie z tego względu, iż mogą służyć jako doskonały przykład pruskich ministrów ostatniej doby. Nie różnią się oni ani na jotę od 21 kolegów dymisyonowanych po r. 1890. Podobnie jak ci ostatni zadawalali się oni przez wrodzoną skromność rolą chóru greckiego w sztuce starożytnej, a jako gorliwi służbiści, spełniali gorliwie nakazy dawane z góry. Upadli również z tego samego powodu, co ich poprzednicy: nie mogli bowiem przewidzieć wszystkich fantastycznych skrętów zygzakowatego kursu i zastosować się do nich. Obejmując swe urzędy, zrzygnowali raz na zawsze z własnego głosu i poglądu, dając folgę swej niezależnej opinii tylko wtedy, gdy szło o junkrów i agraryzków. Rząd podczas ostatnich kilku lat to zbliżał się do warstw pracujących, to odskakiwał w przeciwną stronę; popierał ultramontanów i drażnił ich, pozostawał jednak zawsze sobą na jednym punkcie: w stosunku do junkrów. Zakładano dla nich kasy rządowe, darowywano im część podatków, zakazywano przywozu rogacizny i świń pod rozmaitymi pozorami itd. Lecz oto zachciało się rządowi kanału reńsko-łabskiego wbrew woli junkrów. Błagano, grożono i obiecywano — junkrów nie wzruszyły ani słowa, ani ponętne widoki, gdyż żądali gotówki. Układy i przekomarzanie się z tradycyjną oporą rządu pruskiego były nie na rękę dwu wspomnianym ministrom. Zbywało im na sprężystości, aby przyzwyczaić się do nowej, niezwykłej dla nich roli. Jakże mogli zwalczać tych, którym byli oddani duszą i ciałem lub uwalniać ze służby urzędników konserwatywnych za to, iż głosowali przeciwko „liberalnemu” kanałowi?

Działalność wspomnianych ministrów jeszcze z innych powodów jest charakterystyczną. Niemieccy mężowie stanu wciąż

jeszcze czerpią swą mądrość z testamentu Bismarcka, któremu atoli nie dorastają kolan pod względem stanowczości i świadomości swych celów. „Bicz boży" wiedział, czego chciał; każdy czyn jego był konsekwencyą brutalnej osobistości i ograniczonej filozofii junkierskiej. Epigonowie Bismarcka zaś żyją tą myślą, iż trzeba na gwałt prześladować, dręczyć, krępować — ale *quem! ubi! quando!* nie mogli sobie dokładnie zdać sprawy. Jeśli pominiemy jawne forytowanie hakatyzmu, to właściwie baron von der Recke wsławił się w ostatnich czasach jedynym czynem: pozbawił Berlin głowy reprezentacyjnej, starszego burmistrza. W r. 1898 Prusy obchodziły 50-letni jubileusz swego ustroju politycznego i wypadków 1848 r. Przy tej sposobności rada miejska Berlina podniosła myśl uczczenia pomnikiem poległych w r. 1848. Rząd postawił swe veto. Pomnika nie wzniesiono, a rada miejska w swej potulności zaprojektowała ogrodzić przynajmniej sztachetami miejsce, gdzie spoczywają szczątki walecznych bojowników. Minister zwęszył w tem utajoną chęć uświetnienia rewolucyi. Rada miejska nadesłała skromny plan ogrodzenia i bramy z napisem nic niemówiącym. Baron von der Recke nie dał się przekonać, a gdy starszy burmistrz z powodu sędziwego wieku podał się do dymisyi, rząd uchwalił nie zatwierdzać jego następcy. Wkrótce mija półtora roku od dnia wybrania nowego nadburmistrza, a nieszczęsny elekt wciąż jeszcze z utęsknieniem wygląda zatwierdzenia rządowego, pokutując za wielce rewolucyjny wybryk stolicy niemieckiej.

Pan Bosse, minister od tak zwanej oświaty, jest ojcem nowego systemu stróżów-aniołów uniwersyteckich. W każdej wszechnicy, która ma nieszczęście liczyć w swoim poczcie profesorskim kilku odważnych myślicieli, utworzono katedry konkurencyjne, które obsadzono faworytami rządowymi, aby w ten sposób młodzieży dawać odtrutkę przeciwko złym wpływom nauki. Nie trzeba dodawać, iż luminarze, mianowani na dezinfektorów wszechnic, są pogardzani przez świat uczonych jako nieucy. Druga zasługa Bossego polega na przeprowadzeniu ustawy, która rozciąga kontrolę nad prywatnem życiem docentów. Ponieważ wszelkie usiłowania pozbawienia katedry fizyka Aronsa spełzły na niczem, a fakultet w żaden sposób nie mógł zrozumieć, co ma fizyka wspólnego z wrzekomem podżeganiem burszów uniwersyteckich, więc Bosse dzięki pomocy zachowawców był zmuszonym przeprowadzić w sejmie pruskim ustawę w sprawie kwarantanny społecznej w uniwersytetach, których atmosfera ma się ponoć roić od niebezpiecznych bacillusów przewrotowych. Wszystkie te walki z wiatrakami nie ośmieszyły atoli tak dalece małego człowieka do wielkich interesów, jak nieszczęśliwy order giełdziarza Essera. Prawdziwy to skandal nad skandalami.

Prawdopodobnie przypomina sobie czytelnik, że Herbert Spencer odmówił przed kilkoma laty przyjęcia orderu od rządu niemieckiego. Nauka jak cnota—odparł—jest sama dla siebie nagrodą. Gdyby był się nawet kierował innemi pobudkami, niepodobna byłoby brać mu tego za złe. Jako dowód niechaj posłuży order, udzielony dr. Esserowi z inicyatywy ministra Bossego. Pan Esser był to chłop setny: syn głośnego tuza przemysłowego, przeszedł w krótkim czasie wszelkie szczeble drabiny zaszczytów i dostojeństw. Po opuszczeniu ławy uniwersyteckiej wstąpił jako ochotnik do wojska i dosłużył się wkrótce rangi oficerskiej. Wystąpiwszy ze służby, lubo syn milionera, postanowił pracować ciężko na chleb. Poszedł więc na giełdę. Tu odrazu zdobył sobie serca wszystkich „zwyżkowców." Codzień popołudniu w jednym z kątów sali giełdowej z rękami skrzyżowanemi jak Napoleon dawał zlecenia swym generałom-bankierom, prowadzącym milionową spekulacyę na jego rachunek, a potem ze schylonem czołem defilowali przed eleganckim młodzieńcem drapieżni szachraje i rabusie, zachęcani do zwycięztw i łupów dumnem spojrzeniem i błyszczącem okiem swego naczelnego dowódcy. Ponieważ giełda jest sercem t. zw. „całego Berlina," więc pan Esser stał się wkrótce ulubieńcem arystokratycznego i pieniężnego świata tutejszego. Gdy przechadzał się pod Lipami, prowadząc na smyczy swego słynnego psa, a pod rękę jedną z odalisek swego jawnego lub tajemnego haremu, wyznawcy Starego i Nowego Testamentu z kawiarni Bauera powstawali z miejsc, bijąc pokłony, a panie ścigały zazdrosnem okiem jego kochankę. Ni stąd ni zowąd dr. Esser znikł z horyzontu i powrócił do stolicy w uniformie podzwrotnikowym, jako Kolumb nowoodkrytych przezeń krajów afrykańskich. Ogłosił wnet książkę, w której opisał swą podróż, przygody i trudy. „Świat" niemiał z podziwu. Związek przemysłowców zaprosił go na odczyt, a w jego ślady poszło stowarzyszenie geograficzne. Uczony i bogaty, a przedewszystkiem przystojny Odyseusz, wprawił swemi opowiadaniami w zachwyt Feaków. Pan Bosse, aby dowieść, iż on również potrafi ocenić zasługi naukowe, wystarał się o order czerwonego orła dla Essera. Hyeny z jaskini giełdziarskiej zaskowyczały z radości. Wszyscy „zwyżkowcy" porozpruwali sobie w surdutach dziurki od guzików w oczekiwaniu „dekoracyi." Niefortunny traf chciał, iż pewien uczony, niejaki Wagner, przestudyował książkę Essera i odkrył, iż jest ona od deski do deski bezczelnem kłamstwem. Najdziksze miejscowości, których przejazd wymagałby kilku miesięcy, Esser przebył w przeciągu kilku dni, jak gdyby podróżował w siedmiomilowych butach. Esser, jak przystało na szlachetnego Hidalga, wyzwał oskarżyciela na pojedynek. Plebejusz zaś ku powszechnemu oburzeniu pięknych pań odmówił satysfakcyi. Rodzina Essera ofiarowała mu kilkanaście tysięcy ciężko zapracowanych marek, lecz Wagner odrzucił bezczelną propozycyę. Klub oficerski zwołał sąd honorowy w sprawie Essera, który jest sam oficerem rezerwowym. Zawstydzone ministeryum nakazało zawiesić śledztwo. Oficerowie zbadawszy pomimo to rzecz wyżej, wykreślili Essera ze swej listy. Bosse posypał głowę popiołem, a Esser ożenił się z milionerką, rezygnując z wawrzynów naukowych. *Sic transit gloria demimundi!*

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Nowa kasa.

Podczas gdy Towarzystwo ogrodnicze sprzedawało, kupowało, a przedewszystkiem gadało, młodsze od niego i uboższe Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze zaorywało i obsiewało powoli jego pole i rozwinęło się w instytucyę rzeczywiście pożyteczną. Wytworzyło własny organ literacki, nienadziany projektami, lecz napełniony spostrzeżeniami, urządziło wykłady, a obecnie uzyskało zatwierdzenie „Warszawsk. Kasy oszczędnościowo-pożyczkowej ogrodników i pszczelarzy." Według statutu, członkiem jej może być każdy ogrodnik, pszczelarz, hodowca jedwabników i *wogóle zajmujący się pracą rolniczą zarówno samodzielnie, jak i w charakterze najemnika*, bez różnicy stanu i wyznania." Chociaż ostatnie zastrzeżenie jest zgoła niepotrzebne, bo ogół „zajmujących się pracą rolniczą," najemną i samodzielną obejmuje wszystkie należące do nich „stany," a „wyznania" w każdej instytucyi finansowej są równouprawnione, należy zarazem przyznać, że to ogarnięcie szerokiego zastępu ludzi, zjednoczonych wspólnością pracy na tym samym warsztacie — ziemi, było pomysłem dobrym i może dać pożądane owoce. Oprócz rozmaitych członków wyższej rangi, stanowiących zwykłą okrasę każdego stowarzyszenia, tak zwani rzeczywiści, którzy nas tu głównie zajmują i którzy tworzyć będą podstawę instytucyi, płacą: 1 rb. wpisowego oraz pracujący samodzielnie 50 kop. miesięcznie na fundusz obrotowy i najmniej 1 rb. na oszczędnościowy; oficyaliści zaś 25 kop. na pierwszy i 50 na drugi. Po 20 latach należenia do Kasy członkowie rzeczywiści stają się właścicielami zebranego ze swych składek kapitału oszczędnościowego.

Dalsze szczegóły organizacyi pomijamy, gdyż interesowani mogą się z nią obznajmić tylko przez poznanie ustawy, która wykłada obowiązki i prawa uczestników. My przytoczyliśmy tylko zasady główne, wyrażając przytem zachętę do udziału w nowem stowarzyszeniu, które rozpościera się na szeroką warstwę pracowników rolnych: ogrodników, pszczelarzy, rządców, ekonomów, kolonistów, a może i zamożniejszych włościan, o ile ci uświadomią sobie korzyści w należeniu do Kasy.

Spowiedź aptekarza.

Aptekarstwo, skamieniałe od lat wielu w swych prawach i zwyczajach, przechodzi u nas obecnie proces rozkładu i przetwarzania się według zmienionych warunków i wymagań czasu. Tę starą budowę podważają ciągle bądź nowe przepisy ustawodawcze, bądź skargi ogółu, a nawet samych pracowników. Słyszymy głosy, żądające dalszej obniżki taksy, zniesienia przywileju, upaństwowienia aptek itp. W rzędzie tych ruchów reformacyjnych zaczęły się również budzić pewne skrupuły, dotychczas uśpione lub starannie usypiane. Oto np. co pisze do nas jeden z prowincyonalnych męczenników tego zawodu: „Przedewszystkiem sprzedajemy w aptece nietylko to, co mamy, ale nawet to, czego nie mamy, a więc: sadło borsucze, wilcze, bocianie, komarowe, oraz rozmaite fantazyjne krople i spirytusy. Takich artykułów żądają włościanie i drogo za nie płacą (dostając w rzeczywistości zwykły smalec wieprzowy). W wielkich ilościach sprzedajemy również eter siarczany (anodyny); bardzo też często spotkać można jednostki z ludu całkiem zidyociałe skutkiem nadużycia tego narkotyku. Utrzymujemy przyjazne stosunki ze znachorami, znachorkami, felczerami itd., którzy piszą jakieś recepty, a ponieważ tych bazgrot odczytać niepodobna, więc dajemy chorym cokolwiek, na chybił-trafił... Aż dusza się wzdryga na pracę w takich warunkach, na to świadome ogłupianie, wyzyskiwanie, a często i trucie ludzi." Nie jest to fakt odosobniony, lecz—jak wszyscy wiemy—typowy, a co do aptek prowincyonalnych niemal powszechny. W „oficyny" zdrowia wżarł się handel ze wszystkimi swymi złymi zabiegami, wsiąkła chęć zysku bez względu na moralność, na jego źródła, wpiła się zła pokusa ratowania egzystencyi zagrożonej niedoborem na drodze godziwej. Nie ulega wątpliwości, że gdyby lud prosty miał lekarzów i ufał im, gdyby znachorstwo i felczerstwo nie pastwiło się tak niemiłosiernie nad jego zdrowiem i ciemnotą, gdyby więc apteki miały dochód z czynności rzetelnych i stosunków prawidłowych, nie dopuszczałyby się oszustw i nie sprzedawały komarowego lub bocianiego sadła. Prawda — to stanowi

okoliczność łagodzącą ich winy, ale złe nie przestaje być złem, szkoda—szkodą, krzywda—krzywdą i trzeba się zgodzić z twierdzeniem rozczarowanego i oburzonego korespondenta, że taka apteka jest „niesumiennym handlem i rozsadnikiem ciemnoty.“

Słuszna skarga.

Jeden z lekarzy Pogotowia wystąpił w *Kurzerze Warszawskim* ze słuszną skargą na tłum uliczny, a nawet na publiczność inteligentną, utrudniającą delegatom tej pożytecznej instytucyi niesienie pomocy. Pomimo że bezmyślna ciekawość mogłaby już była oswoić się z nią do syta, ile razy tylko gdzieś pojawi się karetka Pogotowia, natychmiast zbiera się gromada przechodniów, którzy zwartem kołem otaczają miejsce wypadku, nie dopuszczają lekarza lub też swem natręctwem tamują swobodę ratunku. Jeszcze gorszą i bardziej gorszącą od tej gapiówki i wścibstwa jest kocia muzyka, jaką motloch wyprawia nieszczęściu. „Gdy karetka Pogotowia rusza od wypadku — powiada korespondent *Kuryera* — tłum uliczników, a nieraz i uczniów z rozmaitych zakładów naukowych biegnie za nią, gwiżdżąc przeraźliwie.“ Jakie to smutne i jakie wstrętne! Lekkomyślna bowiem ciekawość, połączona z dziką swawolą, nietylko opóźnia ulgę cierpiącemu, ale powiększa jego ból tą orgią wesołości, śród której on odjeżdża z połamanemi nogami, z pognieciomemi żebrami lub groźnym krwotokiem, z okropną niedolą swego ciężkiego życia, przy którem nieraz, jako jedyna pocieszycielka, stać będzie nieubłagana nędza. Rodzice, których dzieci dopuszczają się takich wybryków, powinni je karcić, jeżeli nie w interesie pacyentów Pogotowia, to dla dobra młodych dusz, które się zniepraw iają w tych igrzyskach.

Nowy gatunek twórczości.

Już wiele tych gatunków było, ale p. Synoradzki z *Kroniką rodzinną* spłodzili całkiem nieznany. P. M. Łopuszańska (jak objaśnia w *Gazecie Polskiej*) rozpoczęła w *Kronice rodzinnej* druk powieści p. t. „Straszny rok.“ W maju pismo to zmieniło właściciela i redakcyę, która odmówiła wypłaty honoraryum według umówionej skali, a nadto zażądała skrócenia utworu. Autorka nie zgodziła się na oba te warunki i druk powieści przerwała. Wróciwszy po kilkomiesięcznej nieobytności do Warszawy, spostrzegła ze zdumieniem, że p. M. Synoradzki kończy jej powieść w *Kronice* p. t. „Swaty hetmańskie.“ Stało się to na żądanie redakcyi— jak on tłomaczy. Trudno zaiste rozstrzygnąć, co tu jest dziwniejszem: Pac, czy pałac. P. Synoradzki, przyjmując podobną propozycyę, zapomniał widocznie o wszystkiem, prócz o kopiejkach, które mu *Kronika* zapewniła, „względnie do dochodu“ i które dla p. Łopuszańskiej były za małe, a dla niego dostateczne. Jest to zapomnienie bardzo dziwne nawet wtedy, kiedy się jest zmuszonym nie być zbyt wybrednym w robocie i kiedy się fakt dostatecznie ujawni w przypisku. Z drugiej znowu strony *Kronika*, która sama się żywi i swych czytelników karmi wyłącznie moralistyczną zupką, która starannie przefiltrowywa zasady i pojęcia aż do zupełnego oczyszczenia ich od wszelkich mętów, nadużywając w ten sposób cudzej własności, staje się zagadką trudną do zrozumienia. Jak to można równocześnie i równolegle uszlachetniać uczucia ludzkie i namawiać je do grzechu? Jeszcze raz okazuje się, że podwójna buchhalterya jest wynalazkiem znakomitym, który daleko większe usługi oddaje dewocyi, niż jawnemu handlowi. Tu bowiem ona czyni rachunki przejrzystszymi, a tam zasłania je różowym obłokiem, który z wierzchu mieni się pięknemi barwami idei, a pod spodem kryje geszefcik.

Prywatny pomnik.

P. Józef Kościelski, niegdyś ceniony poeta, potem nieceniony polityk, a obecnie właściciel rozległych dóbr w Poznańskiem, wystawił sobie pomnik Słowackiego w Miłosławiu. Mówimy: sobie, gdyż umieszczenie pomnika w parku prywatnym jest także, obok okazania czci wielkiemu duchowi, dogodzeniem osobistej przyjemności i pańskiej fantazyi. Fantazya ta nawet wysunęła się na wierzch zbyt wyraźnie, p. K. bowiem wyznaczywszy popiersiu miejsce prywatne, „odsłonił“ je publicznie. Mianowicie zaprosił kilkaset osób na uroczystość, która się odbyła według reguły tego rodzaju obchodów, z mowami, kantatami itd. Niewątpliwie lepiej jest, że możni panowie wydają pieniądze na takie rozkosze, przy których bodaj drobne kruszyny odpadają dla dobra społecznego; ale zarazem niepodobna w obecnym wypadku obronić się zdumieniu i nie zaznaczyć, w jakim zamęcie znajdują się nasze uczucia, myśli i czyny. Zdawałoby się, że chorąży białego sztandaru, przywódca stańczyków pruskich, powinienby raczej postawić u siebie pomnik jakiemuś poecie dworakowi, np. Trembeckiemu, tymczasem on wybiera sobie najognistszego— Słowackiego. Zdawałoby się, że dla uczczenia tego aktu przybędą gorący postępowcy i demokraci; tymczasem zjechali się przeważnie konserwatyści i arystokraci ze swymi satelitami. Kto w tem wszystkiem dopatrzy się związku, logiki, prawidłowości! Dwa razy dwa — jak powiada Dickens — Hanibal.

Naturalnie szczytowym punktem uroczystości były mowy. Przemawiali tedy: dobrze ks. Czartoryski, ładnie Sienkiewicz, „politycznie“ zaś niezbędny gadacz wszelakich obchodów— p. Spasowicz, który pogłaskał Słowackiego pod brodę i lekko pociągnął go za ucho. Wielka to szkoda dla tego adwokata, że on nie ma przy sobie przyjaciela, któryby mu na resztę dni żywota odradził wszelkich publicznych występów i uchronił go od marnotrawienia w nich zarobionej sławy lat młodych. P. Spasowicz bowiem coraz bardziej przypomina wędrującego po wsiach „węgra,“ który przy każdej chałupie otwiera swój tłomok i sprzedaje prostaczkom czerwone chustki, szklanne paciorki i lekarstwo na miłość. A przecież on kiedyś był wielkim kupcem!

BADANIA NAUKOWE.

Dr. Michael Heinisch: *Der Kampf ums Dasein und die Socialpolitik.* Lipsk i Wiedeń, 1899.

Kwestya ustosunkowania wyników badań przyrodoznawczych, a mianowicie „walki o byt“ z wynikami najnowszych badań i dążeń społecznych zajmowała zawsze umysły wybitnych przedstawicieli obu tych gałęzi wiedzy, a przechodząc z dziedziny teoretycznej do stosunków społecznych, wywoływała dążności z barwą wybitnie polityczną. Przyrodnicy, przyjmujący za podstawę „walkę o byt“ w myśl teoryi Darwina, jak np. Häckel, Kidd, Tille, Weismann i in. stosowali jej pojęcie w czysto przyrodniczem znaczeniu do walk społecznych u narodów najwyżej względnie cywilizowanych— bez równoczesnego i równomiernego uwzględnienia badań i dążeń społecznych. Tutaj można po części zaliczyć także Spencera, który jako socyolog jest zawsze zwolennikiem stosowania do życia społecznego daleko idących podobieństw z ogólnem życiem przyrody. Z drugiej strony widzimy cały szereg myślicieli, głównie w dziedzinie gospodarczej i prawnej, którzy na wywody przyrodoznawcze mało stosunkowo zwracali uwagi. Nic dziwnego, że obecnie zaczyna coraz mocniej występować na jaw tendencya, ażeby usunąć jednostronność w ustosunkowaniu badań i życia przyrody tudzież badań i dążeń społecznych. Wśród uczonych tego kierunku widzimy nazwiska znane, jak Simla, Ferriego i in. Wyniki ich spostrzeżeń zebrał w krótkiem, ale umiejętnie ścisłem streszczeniu dr. Heinisch, wskutek czego rozprawa jego zasługuje na szczególną uwagę. Autor zaczyna wykład od stwierdzenia, a raczej przypomnienia różnicy, zachodzącej pomiędzy ogólnym niejako typem metodycznym badań naukowych w XVIII a XIX wiekach. Podczas gdy pierwszy rozstrzygał najzawilsze kwestye z młodzieńczą pewnością siebie w drugim widzimy daleko idącą ostrożność krytyczną, opartą przeważnie na podstawie poglądu historycznego, lub ściślej mówiąc — rozwojowego. Ten ostatni wprowadził do nauk przyrodniczych Darwin, do astronomii Laplace, do geologii Lyell itp. W filozofii widzimy zwrot ku swej historyi, prawo dąży do sojuszu z etnologią; w naukach społecznych Marks i Engels zwrócili się przeciw zwolennikom szkoły manczesterskiej. Ewolucyonizm w znaczeniu przyrodoznawczem nie jest identyczny ze znaczeniem wyrazu „postęp.“ Gdy np. ziemia tak ostygnie, że fauna i flora podbiegunowa posuną się ku równikowi — wówczas tych faktów nie nazwiemy postępem, ale ewolucyą, gdyż o rozwoju decyduje przystosowanie się tworów przyrody do minionych warunków, a nie ich mniejsze lub większe skierowanie się ku wyższym formom istnienia. W tak pojętych ogólnych ramach ewolucyonizmu widzimy w całej przyrodzie „walkę o byt,“ którą dr. Heinisch dzieli na: 1) walkę ze światem zewnętrznym (względnie z naturą martwą), 2) walkę pomiędzy sobą (tj. w obrębie danej grupy jej tworów) i 3) walkę o przewagę, czyli panowanie, stwierdzoną już w świecie zwierzęcym, np. u mrówek, posługujących się niewolnikami. Taką samą walkę o byt we wszystkich trzech formach widzimy u ludzi, przytem wiele zależy od tego, jaka jej forma przeważa. Jeżeli np. w grupach społecznych toczy się przeważnie walka o byt pomiędzy sobą — wówczas zatraca się poczucie łączności. Kasty w Egipcie i w Indyach umożliwiają panowanie Anglikom. Inny znów charakter mają walki międzypaństwowe lub międzynarodowe. Obserwując jednak „walkę o byt“ u społeczeństw rozwiniętych cywilizacyjnie, musimy zważać, że pomiędzy tą a zachodzącą w całej przyrodzie są istotne różnice, wynikające z przyczyn stale działających. Człowiek cywilizowany stoi umysłowo o wiele wyżej od świata zwierzęcego i ludzi niecywilizowanych, z czego— co prawda — wynika także możność degeneracyi z nadmiaru (przesytu), nieznana po za ramami kultury. Wysoki stosunkowo rozwój umysłowy wprowadza do „walki o byt“ wśród ludzi rozwiniętych cywilizacyjnie dążenia celowe do unormowania. Stąd wytwarzają się w dążeniach społecznych wymagania etyczne. „A te wymagania okazały się tak potężnemi, że np. nawet w najbardziej zaciętych wojnach należą wykroczenia przeciw postanowieniom Konwencyi generalnej do rzadkości“ itp. Co jednak najbardziej wyróżnia „walkę o byt“ u ludzi wogóle i specyalnie u ludzi rozwiniętych cywilizacyjnie, od toczonej w przyrodzie — to poczucie względnej łączności. Człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, żyje w grupach mniej lub więcej spojonych i prowadząc walkę o byt w ramach danych społeczeństw, nadaje im zawsze cechę społeczną. Obecnie np. śród ludów cywilizowanych toczy się ona w formie walk klasowych.

Przechodząc z kolei rzeczy specyalnie do określenia charakteru walk klasowych, zwraca dr. Heinisch przedewszystkiem uwagę na fakt, iż podstawą ich nie są dzi-

siaj cechy przyrodnicze indywidualne, ale społeczno-gospodarcze, ujęte w formę prawa spadkowego. „To jest powodem, że daleko od najnowszych dążeń społecznych stojący przyrodnicy, jak Buchner i Tielle, oświadczają się za zniesieniem prawa spadkowego.“ Dzielność osobista, jako wynik wyboru przyrodniczego, „nie odgrywa w tworzeniu się klas społecznych roli decydującej.“ Na odwrotnej stronie tego stanu rzeczy widzimy jednak takie fakty, że np. przyrodnik Decandolle obliczył, iż w 200 latach pomiędzy członkami zagranicznymi Akademii francuskiej 41% pochodziło z klas najwyższych, 52% ze średnich, a tylko 7% z najniższych. Spostrzeżenie to rozszerzył na większą liczbę wypadków Odin. Jednakże Decandolle odnosi swoje badania do przyczyn doboru przyrodniczego, tj. nadając im charakter arystokratyczny, podczas gdy Odin z równą—co najmniej słusznością poszukuje przyczyn w charakterze demokratycznym, we wpływie środowiska na łatwiejsze i częstsze wyłanianie się wybitnych indywidualności z klas wyższych, aniżeli z niższych. Dla badań i dążeń społecznych jest to jednak, zdaniem dr. Heinischa, kwestya o tyle obojętna, że przecież z tego, czy powstawanie wybitnych indywidualności zależy od cech wyboru przyrodniczego, czy też od środowiska społecznego — wcale jeszcze nie wynika konieczność odróżniania klasowego ludzi zaraz w pierwocinach ich życia (prawo spadkowe). Przeciwnie, jeśli nawet ludzie do „walki o byt“ występują na podstawach doboru przyrodniczego, to jednak dążenie społeczne do wyrównania ich w chwili rozpoczęcia tej „walki“ okazuje się usprawiedliwionem. To dążenie jest zaś tem silniejszem i tem bardziej naturalnem, iż przecież o dzisiejszych klasach społecznych w żaden sposób nie da się powiedzieć, iż są wynikiem doboru przyrodniczego (biologicznego).

Na tych spostrzeżeniach opiera dr. Heinisch ogólny rezultat swojej pracy. Sądzi mianowicie, że kwestya doboru przyrodniczego i opierająca się na niej kwestya indywidualnej nierówności ludzi jest dla najnowszych badań i prądów socyalnych rzeczą drugorzędną, a już wcale nie może sprzeciwiać się dążeniom ku stopniowemu usuwaniu czysto społecznych różnic klasowych. Usuwanie to wyobraża sobie dr. Heinisch jako wynik reform ekonomicznych na podkładzie prawno-państwowym, co uzasadnia tytuł jego książki: „Walka o byt a polityka socyalna.“

Dr. K. J. Gorzycki.

STUDYA SOCYOLOGICZNE.

Pomimo paru dziesiątków lat, które upłynęły od ogłoszenia przez L. Morgana systemów powinowactwa i pokrewieństwa, nie dokonano znaczniejszych postępów w tej dziedzinie zagadnień socyologicznych. Co więcej, są jeszcze badacze, którzy nie mogą pogodzić się z zasadniczą ideą wywodów wybitnego uczonego amerykańskiego, mianowicie, iż nazwy pokrewieństwa stanowią nie wyraz stosunku konwencyonalnego, ale, przeciwnie, faktycznie przyznawanego. Niekiedy zdaje mi się, jakoby wielu przeciwników nie zadało sobie nawet pracy uważnego odczytania stronic dzieła, zawierającego owe tablice pokrewieństwa i powinowactwa: lektura ta bowiem jest bardzo odstraszająca. Książka Morgana należy do liczby tych, które ten i ów bierze do ręki, przerzuca stronice i dochodzi do przekonania, iż nawet po odczytaniu nie dowie się więcej nad to, co zobaczył przy takiem powierzchownem przeglądaniu, a tylko w potrzebie postanawia zajrzeć do tablic dla wyzyskania znajdującego się tam materyału surowego. Mniejsza zresztą o to, faktem jest przecież, iż w większości przypadków u krytyków ujawnia się często nieznajomość tego, co mieści w sobie wspomniane dzieło, obok obfitego materyału surowego zawierającego mnóstwo uogólnień i uwag. A tymczasem daje ono niewątpliwie klucz do dalszego zrozumienia stosunków pokrewieństwa, które może wydać nawet rezultaty, jakich badacz amerykański nie oczekiwał, ale ku którym utorował drogę swojemi studyami i poszukiwaniami. Podjął on zadanie, zgoła nie posiadając dokonanych przyczynków, co więcej sam zmuszony korespondować z misyonarzami i rezydentami wśród ludów pierwotnych, ażeby od nich otrzymać wskazówki. Dzisiaj, kiedy badania jego zwróciły uwagę na nazwy pokrewieństwa i powinowactwa i wykazały, że odpowiednie zbiory nie są pozbawione doniosłości naukowej, zaczęto gromadzić je coraz obficiej i powstał w ten sposób materyał oczekujący nowego Morgana, któryby umiał pchnąć naukę na dalsze tory.

Korzystając z materyału, który udało nam się nagromadzić, postaramy się przelać pewne światło na niektóre nazwy pokrewieństwa i powinowactwa, mianowicie, kiedy dwie osoby, znajdujące się, na pozór, z naszego punktu widzenia w bardzo odmiennem względem siebie stanowisku, posługują się przecież tym samym wyrazem w stosunku wzajemnym. Parę przykładów wyjaśni rzecz szczegółowiej. U nas teściowa i zięć posiadają na swoje oznaczenie, jak widzimy, terminy zgoła odrębne, tymczasem u wielu ludów ten sam wyraz służy na oznaczenie obojga: u pewnego plemienia australskiego mężczyzna o matce żony swojej mówi „nalun,“ ta zaś o mężu swojej córki odzywa się także w ten sam sposób, tj. iż jest to jej „nalun.“ Kobieta na oznaczenie córki swojej córki u nas posiada wyraz „wnuczka,“ przyczem dla odróżnienia jej od córki syna dodaje, że jest to wnuczka po córce. Odwrotnie, kobieta na matkę swojej matki woła „babko,“ w rozmowie, dla wyróżnienia jej z pośród innych babek, dodając, iż jest to babka rodzona, ze strony macierzyńskiej. U plemienia australskiego, z którego zaczerpnęliśmy przykłady na wzajemny stosunek teściowej i zięcia, taka babka posiada własny swój termin, nazywa się ona „kuki,“ podczas gdy babka ze strony ojcowskiej słynie jako „mimi.“ Ale jednocześnie z takiem bogactwem nazw mamy tam pewne pozorne ubóstwo. Mianowicie nietylko wnuczka na matkę swojej matki woła „kuki,“ ale także i babka, mówiąc o córce swojej córki, odzywa się o niej, jako o swojej „kuki“; również nietylko kobieta na matkę ojca swego powiada „mimi,“ lecz jest to termin zobupólny, bo i babka na córkę syna swego woła nie inaczej. Niekiedy ta wzajemność i zobupólność rozszerza się jeszcze na dalsze grupy. Nietylko np. teściowa i zięć, ale także i siostry ojca mego, jeśli jestem mężczyzną, noszą tę samą nazwę.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, iż jedyną pobudką, sprawiającą takie stosowanie nazw, jest ubóstwo języka lub poplątanie stosunków. Ale starczy zastanowić się nieco uważniej, przedewszystkiem zaś uwzględnić tę okoliczność, iż taka zobopólność nazw dla tych samych osób, np. dla teściowej i zięcia, spotyka się nie w jednym punkcie, ale w bardzo dalekich od siebie okolicach i u ludów, bynajmniej sobie niepokrewnych, ażeby zrozumieć, iż musiały tam istnieć przyczyny bardziej zasadnicze. Samo z siebie nastręcza się przypuszczenie, iż człowiek, który w tylu punktach, niezależnie działając, stworzył na oznaczenie tych samych osób nazwę wzajemną, miał pewne realne powody tak postępować, oraz nasuwa się dalszy wniosek, mianowicie, iż podejrzywając w takiem stosowaniu terminu dziwolągi, my zadajemy gwałt życiu pierwotnemu, pragnąc rozpatrywać je ze stanowiska naszych pojęć i zwyczajów cywilizacyjnych. Oczywiście „psychologia“ pokrewieństw jest tam, w zaraniu życia kulturalnego, inną, niż w naszym ustroju społecznym, to znaczy, iż ludzie patrzą na swoje stosunki wzajemne, na pokrewieństwa i powinowactwa, ze zgoła innego punktu. Nazwy słowne, które nadajemy naszym krewnym, stały się dla nas prostymi symbolami, których pierwotne znaczenie zatraciliśmy, tak iż dopiero wywody lingwistów wykazują nam, iż córka w mowie praaryjskiej miała konkretne znaczenie, związane z pojęciem „dojenia“ (właściwie ssania) itd. I u najniższych ludów odpowiednie terminy są również często tylko symbolami, co do których pierwotnego znaczenia zatracono wszelkie poczucie. Otóż ta żywa treść, z biegiem czasu ginąca w symbolu dźwiękowym, jest inną u szczepów australskich lub amerykańskich, niż u nas.

Przecież symbole owe nie zawsze pozostają nieodgadnięte. Przynajmniej nam udało się parę z nich odcyfrować, i to właśnie dla najniższych szczebli kultury. Z pośród tych łamigłówek wybierzemy parę, ażeby na nich unaocznić psychologię powstawania terminów zobopólnych.

Wspominaliśmy o tem, iż zięć i teściowa używają na swoje oznaczenie tego samego terminu, przyczem zaznaczyliśmy, iż dzieje się tak u wielu plemion. Taka wzajemność znajduje się w najściślejszym związku z powszechnie istniejącym zwyczajem unikania rozmowy przez te dwie osoby, i nietylko rozmowy, ale nawet znajdowania się jednocześnie na tem samem miejscu i jakiegokolwiek przestawania z sobą. U Australczyków, jeśli teściowa zajdzie przypadkiem do tego samego szałasu, w którym jest zięć, ten chowa się pod skóry; jeśli spotkają się w polu, teściowa przybiera osłupiałą postawę i pokrywa głowę swoją. Zakaz rozmowy rozpoczyna się od tej chwili, w której pewnemu mężczyźnie przyrzeczono rękę córki i trwa niekiedy do przyjścia na świat pierwszego dziecka młodej pary, u niższych zaś ludów—do samej śmierci. Właśnie zobopólność nazwy dla teściowej i zięcia bierze swój początek w zwyczaju takiego unikania wzajemnego. Mniemam, iż zawsze, gdybyśmy znaleźli pierwotne jej znaczenie, otrzymalibyśmy termin, który przełożony na nasz język, oznaczyłby „moja,“ lub „mnie unikająca osoba.“ Przynajmniej w tych przypadkach, które udało mi się odcyfrować, otrzymałem takie znaczenie. U jednego z ludów australskich, wyraz „nalun“ oznacza „osłupiałą“ postawę kobiety przy spotkaniu z mężczyzną, względem którego zwyczaj jej nakazuje zachowywać się powściągliwie. Zięć zowie się naluni, tj. „unikający mnie mężczyzna,“ teściowa zaś „nalunkuri,“ tj. „unikająca kobieta.“ Podobnież u innego ludu australskiego znalazłem ten sam pierwiastek na oznaczenia nieoprzestania z sobą towarzyskiego, oraz dla terminów zięcia i teściowej. Co więcej, u niższych szczepów unikanie to pomiędzy kobietą i mężczyzną ogarnia szersze grupy. Również winny mnie unikać siostry ojca, ja zaś — je. I znowu spotykamy ten sam termin na oznaczenie nietylko zięcia i teściowej, ale nadto sióstr mego ojca, jeśli jestem mężczyzną.

Przytaczaliśmy, że wnuczka na babkę ze strony macierzyńskiej, ta zaś na nią woła tak samo. U jednego z plemion australskich napotykam dla tego pokrewieństwa aż dwa terminy, oba zobopólne. Babka o wnuczce mówi jako o „kuki“ albo jako o „kurok.“ I odwrotnie, wnuczka używa ich, kiedy wypadnie jej mówić o swojej babce ze strony matki. Po dość długich poszukiwaniach okazało się, iż są to wy-

razy, pochodzące od tego samego źródłosłowu: „krk,“ gdzie r ma brzmienie angielskie, głuche i niekiedy przechodzące w proste przedłużenie poprzedniej samogłoski. A więc właściwie „kurki“ i „kurok.“ Porównawcze zestawienie kilkunastu ościennych słowniczków australskich przekonało mnie, iż znaczenie tego terminu jest poprostu „krew.“ Babka na córkę córki swojej, w której żyłach, zdaniem pierwotnego człowieka, płynie ta sama krew, woła: „moja krew.“ Wnuczka tak samo odzywa się o babce ze strony matki. Człowiek pierwotny rozpatruje więc to pokrewieństwo ze stanowiska, zgoła logicznego — w jego przekonaniu. Nadto dodajmy, u powyżej wymienionego szczepu co do wnuczki i babki, tylko rodzina matki jest krewniactwem: bracia matki są np. „mężczyznami krwi.“ Otóż pomiędzy tymi krewniakami za najwybitniejsze przedstawicielki „krwi“ uchodzą babka i wnuczka — przez kobiety. I znowu psychologia taka nie jest właściwa tylko jednemu plemieniu, ale powtarza się częściej. Między innemi, na wyspach fidzyjskich spotkałem w tym razie pewien termin, którego znaczenie również odnalazłem — „źródło“ (w znaczeniu takiem, w jakiem mówiono, iż Skandynawia była waginą ludów).

Poprzestajemy na powyższych przykładach, świadczących, że bądź co bądź człowiek pierwotny, używając pewnych nazw, jednakowych, dla osób, które odróżniamy z pomocą odmiennych terminów, kieruje się niezaprzeczenie logiką. Nie zawsze udało się nam odnaleźć znaczenie wyrazów, służących za symbole przy oznaczaniu pokrewieństwa i powinowactwa, a posiadających ów charakter zobopólności. Niektóre z nich oparły się wszelkim próbom wyjaśnienia, ale wobec kilku przypadków, w których treść ich została odcyfrowaną, niepowątpiewamy, że i inne posiadają taką samą logikę. Dodajmy do tego, iż zawsze lub przeważnie są to terminy powinowactwa, tymczasem kiedy wyrazy, służące do oznaczenia pokrewieństwa, daleko trudniej opierają się wszelkiej analizie. Morgan, przy rozbiorze nazw, używanych przez czerwonoskórych Ameryki północnej, uczynił uwagę, iż w większości wypadków wyrazy, któremi Indyanin posługuje się, ażeby oznaczyć krewniaków, utraciły wszelkie ślady swego pochodzenia, i trzeba spoglądać na nie jako na źródłosłowy. Istotnie, przeglądając jego tablice, dotyczące szczepów indyjskich, znajdujemy próby wyjaśnienia pierwotnego znaczenia wyrazów tylko wtedy, gdy chodzi właśnie o stopnie powinowactwa, tj. stosunku, który nastał pomiędzy osobami skutkiem zawartego pomiędzy ich krewniakami małżeństwa. Jest to wskazówka, że i same terminy są względnie świeżego pochodzenia w porównaniu z temi, jakie służą na oznaczenie szczebli pokrewieństwa. Nadto, przy badaniu systemów pokrewieństwa i dochodzeniu ich znaczenia, trzeba jeszcze pamiętać o jednem, mianowicie, iż takie zasadnicze pojęcia jak: matka np. albo ojciec może są tylko, o ile bierzemy pochodzenie wyrazów użytych na ich oznaczenie, rzeczownikami, utworzonymi z bełkotania dziecięcego. Lubbock już zwrócił uwagę na to, że „ojciec“ i „matka“ w różnych językach przedstawiają tylko odmiany paru zasadniczych dźwięków, takich, jak „ta,“ „ba,“ „ma“ itd., najłatwiejszych i często pierwszych, które wydobywają się z gardła niemowlęcia. Nowsi badacze źródłosłowów aryjskich nazw pokrewieństwa, np. B. Delbrück, gotowi są twierdzić, iż aryjskie pierwiastki na oznaczenie ojca i matki, uwydatniające się w wyrazach „pater,“ „mater“ itd., są także takiego samego pochodzenia. Wzięto dźwięk, wydobywający się z gardła dziecka i dodano do niego końcówkę. Niewątpliwie wiele najbardziej podstawowych nazw pokrewieństwa pochodzi z takiego źródła i naturalnie nie poddaje się odcyfrowaniu. Przeciwnie, stosunki powinowactwa, zawarte przez człowieka w wieku dojrzałym, przeważnie posiadają pewien charakter sygnifikacyjny.

Poruszywszy sprawę systemów pokrewieństwa, musimy zatrzymać się jeszcze nad jednym punktem. U wielu ludów spostrzeżono, iż nazwa, stosowana przez dziecko względem matki i jej sióstr, jest tą samą. Wszystko są to matki. Stąd wywnioskowywano, iż ponieważ nikt nie ma więcej nad jedną matkę, co do której nie może być najmniejszej wątpliwości, przeto taka zbiorowość nazwy służy za dowód, że terminy systemów pokrewieństwa są konwencyonalne. Co do mnie, mniemam, że pod wspólnością nazwy ukrywa się rzecz bardzo realna. Zbierając nazwy na oznaczenie matki, niejednokrotnie spostrzegłem, iż ten sam źródłosłów dostarcza wyrazów dla „piersi,“ „mleka,“ „matki.“ Niemowlę używało tego samego dźwięku na oznaczenie i piersi, z których pobierało pokarm, i samego pokarmu, i wreszcie matki. Wspólność nazwy dla matki i ciotek świadczyłaby przedewszystkiem o tem, że dziecko mogło podbiedz do każdej z nich, gdy było głodne. Nastręcza się pytanie, o ile to przypuszczenie znajduje potwierdzenie w faktach. Fakty, które posiadam pod ręką, nie pozwalają wątpić o tem, iż rzeczywistość odpowiada naszej hipotezie. U ludów pierwotnych dziecko poniekąd bierze piersi całej grupy kobiet, będą to więc wszystko dla niego karmicielki, „piersi mleczne,“ czyli „matki.“

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Walter Pater: *Imaginary Portraits — Denys l'Auxerrois.*

Mówiąc o W. Paterze, rozbieraliśmy dotychczas głównie jego powieści, jak „Maryusz Epikurejczyk“ i „Gaston de Latour.“ Była to jednak tylko drugorzędna strona jego działalności. Pater był przedewszystkiem krytykiem impresyonistą. Krytyka ta, nader oryginalna, polegała na tem, iż autor obierał jakąś epokę znaną z historyi literatury i sztuki, jak okres niemieckiego „Aufklaerung'u“ lub wczesnego „Renaissance'u“ we Francyi i uprzytomniał nam je w obrazach pełnych najsubtelniejszego artyzmu. Dla przykładu obieramy na dziś jeden z najlepszych „Portretów wyobrażalnych,“ Denysa Auxerrskiego. Wczesny Renesans miał miejsce we Francyi między XI a XII stuleciem, charakteryzując się przebudzeniem z długiej zimy średniowiekowej kultu radości życia, piękna i natury. W ruchu tym przyjmował udział żywo kler katolicki, a po części i szlachta, głównie jednak mieszczaństwo, które w tych czasach starało się wyzwolić gminy miejskie z pod jarzma feodalizmu. Przejawiał się także w tym ruchu powrót do sztuki starożytnej, klasycznej i początki naukowych badań przyrody. Z czasem wszakże ta ostatnia dążność odstraszyła od siebie lud i kler; powrót do natury, z początku niewinny, zwyrodniał w wyuzdaniu, o jakiem nam dają pojęcie opowieści Boccacia, a gdy polityczna i społeczna strona ruchu —emancypacya miast — osiągnięta została, zamarł on pod wrogiem ciśnieniem tłumu. Noc średniowieczna znowu chwilowo zapanowała aż do czasów istotnego Odrodzenia.

Wszystkie fazy tej wiekopomnej walki wspaniale uprzytomnione zostały przez Patera i wcielone, że tak powiem, w postaci Denysa, który przedstawia starożytnego Dyogenesa Zaugreusa, przeniesionego do średniowiecznego miasteczka Auxerrey, gdzie dokonywa odrodzenia duchów. Ten portret wyobrażalny jest raczej poematem, niż studyum krytycznem. Proza jest tu tak barwną, tak harmonijną, iż zdobywa całą potęgę suggestyi, którą tylko poezya posiada. Postaramy się w krótkiem streszczeniu dać pojęcie o tym klejnocie krytyki angielskiej.

Była w urodzeniu Denysa tajemnica, związana z historyą pewnej pięknej dziewczyny, która w osiemnastym roku życia porwaną została, nie wbrew swej woli, ku przyjemności hrabiego Auxerry. Chciała naturalnie widzieć wielkiego pana, który kazał ją sprowadzić, w całym przepychu jego pałacu. Ale przestraszona dziwną wspaniałością nowego pomieszkania i nowego życia, a głównie gniewem żony prawnej, uciekła w zamieszaniu szalonej burzy i wydała przedwcześnie na świat dziecko. To ostatnie, zadziwiająco piękne, znalezione zostało żywem, gdy matka była umarłą. Denys wychowany został, na rozkaz ojca, w ukryciu zrujnowanej wieży, pokrytej bluszczem. Było to żywe i radosne chłopię. W wieży owej, schowany jak gniazdo pośród zieleni, stał się doskonałym ogrodnikiem, a gdy podrósł, miał zwyczaj nosić wytwory swej hodowli na rynek, zajmował namiot na placu katedralnym dla sprzedaży melonów, granatów, wszelkiego rodzaju nasion i kwiatów, miodu, drobnych świec woskowych, garnków, które sam lepił w drobnej garncarni w lesie i chlebów, pieczonych przez starą kobietę, z którą mieszkał.

W Auxerre istniał dziwny zwyczaj. W niedzielę wielkanocną kler grywał w samym środku kościoła, wnet po nieszporach, uroczyście w piłkę. Podkasawszy trochę habitów, wszyscy księża czekali w milczeniu swej kolei, gdy przywódca dzieci z chóru, rzucał piłkę tak wysoko, jak tylko mógł, wzdłuż sklepienia; chwytało ją następnie jedno z chłopiąt i ciskało śpiewakom: od tych przechodziła ona do kapłanów i nawet do kanoników, którzy przyjmowali udział w grze z całą powagą ceremonii kościelnej. Właśnie w chwili, gdy kanonicy poważnie przystąpili do obrzędu, Denys po raz pierwszy wystąpił publicznie. Skacząc pośród bojaźliwych pacholąt z chóru, zamienił ceremonię na grę prawdziwą. Chłopcy zaczęli się bawić, jak prawdziwi chłopcy, a dorośli z zapałem, i wszystko to było wyrazem życia rozkosznego, które owładnęło naprzód klerem, a następnie i widzami. Stary dziekan kapituły, protonotaryusz Jego Świątobliwości, zakasał habitu trochę wyżej i wystąpił z zadziwiającą lekkością, jakby uwolniony naraz od ciężaru swych lat osiemdziesięciu i cisnął piłkę wielebnemu kaznodziei. I wówczas laicy sami, niezdolni pozostać bezczynnymi, przystąpili do partyi z okrzykami radości, mniej lub więcej hamowanymi. Gra trwała aż do chwili, gdy nie można już było rozróżniać piłki pod ciemnemi sklepieniami nawy.

Od tego czasu kobiety chętnie spoglądały w stronę Danysa, gdy zraszał swe kwiaty, a nocami marzyły o nim. Nawet młode dziewczęta, spostrzegłszy go, zaczynały przechadzać się po rynku. Mężczyźni, widząc to, podejrzywali czary ukryte w młodzieńcu i sami padali ich ofiarą. Nawet uczony mnich Hermes, oddany nauce i dumaniom, nie mógł wypędzić z umysłu wizerunku pięknego sprzedawcy owoców i chętnie chciałby odgadnąć tajemnicę jego uroku, po części w przyjaznej intencyi wytłomaczenia samemu młodzieńcowi nadnaturalności jego uzdolnień, a także w chęci skorzystania zeń.

Był to czas przewagi młodych. Obecność Denysa natchnęła ich, nie wiadomo czemu, ogniem zapału. Wygłaszali niewiarogodne,

w świadomem zuchwalstwie, żądania. Przewrót ten. w temperamencie i zwyczajach indywidualnych był zgodny z ruchem, który wówczas owładnął Auxerrą i innemi miastami Francyi, mającym na celu wyzwolenie gmin miejskich z pod jarzma starożytnego feodalizmu. Denys był przywódcą tego ruchu. Między innemi miał przezwisko *Franca*, wolnego. Młodzi panowie z arystokracyi uważali sobie za punkt honoru twierdzić, iż robotnik ma prawo do kilku godzin wczasu i byli całkiem skłonni poswatać się z wolnością ludową (naturalnie trochę upiększoną, chociażby dzikimi kwiatami). W ten sposób ze swego namiotu Denys zamieniał poważny i powolny ruch głów rozsądnych na wyuzdanie społeczne, jak najbardziej szalone, które przez czas pewien nadało życiu realnemu pozory zwodniczo teatru. On pierwszy organizował te długie procesye, za których pomocą „ludzie drobni," malkontenci, zrozpaczeni, zaczęli wygłaszać swe niezadowolenia i swe uroszczenia. Gorącemi nocami tłumy kobiet rozswawolonych i młodzieńców o twarzach pomalowanych na czerwono biegły z pochodniami zapalonemi na pagórki, pokryte winem, albo też udawały się przez ulice miasta, ku wielkiemu strachowi stróżów, na brzeg rzeki odetchnąć świeżem powietrzem. Zewsząd muzyka, wybuchy śmiechu.

Dotychczas szeregiem delikatnych symbolów autor przedstawia Renesans jako nieprawe dziecko ludu i arystokracyi, pokazując wpływ jego na kler i na dążenia ku wolności mieszczaństwa. Wszystko w tym obrazie jest ściśle zgodne z historyą, ale zarazem pełne subtelnego artyzmu i poezyi! Pater chce pokazać, iż to wrzekome próżniactwo, ku któremu Denys prowadził młodzież, było tylko oddaniem na usługi człowieka rozkoszy rzeczy naturalnych. Artyści ówczesni ujęli w swe dzieła bogactwo i różnobarwność widocznych kształtów życia. I sama natura wydawała się współpracować ku temu. Planeta Mars była bardziej zbliżoną do ziemi, niż zwykle, zawieszona na niskiem niebie, jako czerwień zapalonej lampy. Promienie słoneczne przenikały w najbardziej ukryte zakątki i budziły do życia rośliny, wydające się od dawna umarłemi.

Denys otaczał swą troskliwością nietylko rośliny, ale i zwierzęta. Był przepełniony współczuciem ku nim, używał całej swej zdolności, żeby leczyć ich choroby, bronił zająca ściganego przez łowców i sprzedawał swój płaszcz, aby wykupić jagnię z pod noża rzeźnika. Kochał także istoty dziwne i potworne — budziły one najżywszą jego ciekawość *). Przekonywał ludzi, iż nie powinni się przestraszać wobec niezwykłych i brzydkich istot, które światło ruchome pochodni wypędzało z ich kryjówek i nie brać za złą oznakę ich zbliżania się. Oswoił wilka, który był mu posłuszny, jak pies. Była to pierwsza z pośród licznych okoliczności dwuznacznych, które wzbudziły naprzód podejrzenie, a następnie i nienawiść ludu. Sowa, której lud tak nie lubił, była ptakiem ulubionym Denysa.

Jego piękno i młodzieńcza świeżość pozostawały niezmiennemi. Zachowywał je nie żadną władzą magiczną, jak to twierdzili niektórzy, lecz naturalną prostotą swego życia. Woda i owoce starczyły mu za pokarm. Ale niewinność dziecięca Denysa zaczęła zanikać, w miarę tego, jak nienawiść ludu rosła i jak kler zaczął się odwracać. Danys uciekł na południe. W wielkim porcie Marsylii handlował z majtkami powróconymi ze wszystkich krańców świata z Arabii i Indyi: kupował ich towary, które wystawiał na sprzedaż przed olśmionym tłumem: wina rozkoszne i wonne kadzidła, jakich dawniej nie znano, nasiona tajemniczych i niewidzianych kwiatów, zwierzęta dzikie i oswojone, naczynia wytworne o barwach jaskrawych. Namiot jego, jako plama koloru dziwnego i rzadkiego, błyszczał w skwarze letnim.

Po tej długiej podróży, znacznie zmieniony, Denys jadł po raz pierwszy mięso, jego delikatne palce szarpały, z rodzajem żarłoczności, gorącą czerwień zwierzyny. Obrał wielkopańskie pomieszkanie, opuszczone oddawna przez właścicieli i nawiedzane przez duchy, tak iż spoglądano na nie złem okiem. Tam, otoczony przepychem, stał się filozofem i stworzył szkołę dla artystów, którzy poznali w ten sposób sztukę różną od ich własnej, mianowicie ten radosny czar jego życia, i utworzyli powoli rodzaj arystokracyi. A jednak jakiś rodzaj ponurej atmosfery zaciężył nad nim. Istota łagodna, jaką był, zaczęła tracić swą dobroć. Dziwne i niewytłomaczone przestępstwa zaczęły się wykrywać, które składano na koszt Denysa. Pod jego tchnieniem młody świat zaczął się psuć. Oskarżono go, iż miał zamiar stać się brabią Auxerry. Stary mnich Hermes przypominał sobie pewne starożytne opowiadania, w których bóg wina — a jego rolę tak doskonale odgrywał Denys — miał stronę odwrotną, ponurą i antypatyczną, przedstawiające dwie natury sprzeczne i trudne do pogodzenia. Rodzaj zwyrodnienia i grubości tej, co pochodzi z przesytu, z łaknień złych i niekształtnych — z żądzą prawie dziką pokarmów mięsożernych ogarnął wszystkich. Mówiono o kobietach, które rzucały do wody swe dzieci nowonarodzone, o dziewczętach brzemiennych, które się powiesiły. Ah! gdyby sam Denys nie czuł się opanowany szałem! Ale gdy niewyraźnie zaczęto go oskarżać o zabójstwo, zapytywał siebie samego, czy istotnie tak nie było i widmo wyobrażalnego przestępstwa zaczęło go nawiedzać. Lud zwrócił się przeciw swemu ulubieńcowi, którego urok uważany był teraz za dowód niezbity czarodziejstwa. Możnaby rzec, iż wino nalane ku przyjemności tego ludu naraz skwaśniało w kielichu. Złoty wiek, istotnie, odrodził się na czas pewien — ale czy złoto było czystem, czy też była to tylko pozłota? Wszyscy byli zbyt znużeni, a przynajmniej zbyt poważni, aby grać swą rolę do końca. Lata obfitości zanikły, nastąpiły złe czasy. I oto pewnej nocy uknuto spisek: miano schwycić Denysa i uśmiercić go, bez sądu, jako czarodzieja.

Denys uciekł i skrył się do mnichów w klasztorze St. Germain, którzy z radością przyjęli go do swej pracowni, jakkolwiek potajemnie, w obawie przed jego wrogami. Denys stał się cichym i pełnym melancholii. Pracował naprzód w towarzystwie mnichów-artystów koło wybudowania katedry św. Stefana i przez sam fakt swej obecności wywołał rezultaty zadziwiające. Nieświadomie objawił nową ekspresyę i nowe uczucia swym towarzyszom, co wyraziło się w formach wytwornej fantazyi. W dziełach architektury i rzeźby pozostawił ślady niezatarte swego przejścia. Były tam, obok resztek dawnej dzikiej radości, w masie żywych arabesków, objawy satyryczne, śmieszne i grubiańskie, wyrażające zaćmienie, jakie zaszło w duszy Denysa. Od tego czasu, pojawia się poważna, ale i pogodna ścisłość. Jakby piękna radość starożytna świata pogańskiego pogodziła się z nową religią. I rezultaty tego okresu można widzieć na miniaturach rękopisów ówczesnych — na wspaniałych Owidyuszach, gdzie dawne miłości i smutki zdawały się wracać do życia w habitach mniszych, podczas gdy Denys, w kapturze teraz, schylał się nad ramieniem malarza i kierował jego ręką, raczej drogą milczącej sympatyi, niż głośnych wskazówek.

Ale po nad wszystkiem panowała wówczas żądza stworzenia instrumentu dla muzyki świętej bardziej wolnej i urozmaiconej, niż ta, która była w użyciu, muzyki dość szerokiej, aby mogła wyrazić całą głębię dusz ówczesnych. Denys znowu skombinował w jeden potężny prąd muzyczny wszystkie instrumenty, których używano i stworzył organy. Były one jakby księgą jego życia, wyrażając całą jego naturę, zupełnie, w jej strachu i radości. Tymczasem zdawało się, że tłum zapomniał o jego istnieniu. Ale był to tylko pozór, bo gdy Denys pewnego dnia znowu pojawił się na placu podczas przedstawień, dawna nienawiść wybuchła wielkiem zarzewiem, od którego nie zdołał go wybawić nawet habit. Rzucono się nań z wściekłością i został rozszarpany na kawałki. Mężczyźni przypinali sobie płaty jego ciała do kapeluszy; kobiety udzielały ku temu swych długich szpilek. Mnich Hermes napróżno szukał dnia następnego jakichkolwiek bądź szczątków jego ciała. Tylko serce jego, prawie nienaruszone, przyniesione mu zostało, w kilka dni potem, przez cudzoziemca. Mnich pochował je na uboczu, w skrzydle ciemnem katedry Auxerry, gdzie podanie o Denysie zachowało się dotychczas.

Dr. L. Winiarski.

*) Chodzi tu o badania naukowe Renesansu.

POEZYE

Z jesiennych szkiców.

Na roli, wodą przesiąknięty,
Z piersią, w bruzd szramy wzdłuż zapadłą,
Niby kirowy szmat rozpięty,
Żałobne stado wron zasiadło...

I nieruchome, wzrokiem wodzi
Po ziemi pełnej wód, kałuży,
Czy gdzie na listka nikłej łodzi
Robak na wierzch się nie wynurzy...

A na zachodzie zorze krwawe
Płoną, by rany w żywem ciele —
I las, w zmierzch tuląc swą podstawę,
Koroną wzwyż się piętrzy śmiele.

I grają blasków wkrąg płomyki,
Po drzew wierzchołkach coraz gęściej,
Jakby pożaru żywioł dziki
Ogarnął lasu górne części...

I iskrzą się wody od czerwieni,
Jakby Bóg wylał w nie krwi morze,
Na tle ponurem zmierzchów, cieni,
Gotując krwawe nocy łoże...

A w dali czarne, nieruchome
Stado wron, kruków zerka śmiele,
Jak gdyby czuło wciąż oskomę —
Na krwią zbroczonem zasiąść ciele...

Raz jeszcze...

Zanim przyroda do snu się ułoży
Pod białą śniegów i lodów powłoką,
Raz jeszcze nasze uweseli oko
Cudnym rumieńcem przedwieczornej zorzy.

Raz jeszcze skarbiec żywych barw otworzy,
Wzorzysty dywan rozpostrze szeroko,
Potrząśnie kwieciem — i westchnie głęboko,
Aż echo jęknie wśród polnych rozdroży...

Tak samo człowiek — nim nareszcie skona,
Raz jeszcze wieńcem wspomnień się otoczy,
Raz jeszcze wznieci w głębi swego łona

Stłumionych pragnień niedogasłe żary —
Raz jeszcze ujrzy świat marzenia stary,
I żądzą szczęścia zapłoną mu oczy!...

Wiktor Dzierżanowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

WYSTAWA W RADOMIU.

II.

Na szczególną uwagę zasługuje skromny domek, mieszczący w sobie drobny przemysł włościański i etnografię. Widzimy tam dział pracy, wyparty przez maszynę do odległych zakątków. Jest to przemysł w stanie szczątkowym, sztucznie podtrzymywany przez opiekunów i protektorów pracy chłopskiej. Tkactwo domowe, niegdyś zaspakajające potrzeby nietylko włościan, lecz i mieszczan, dziś się utrzymało tylko we wsiach i miasteczkach dalej położonych od ognisk fabrycznych i wielkomiejskich. Słyną jeszcze wyroby tkaczów z Nieznamirowia, które się znalazły na wystawie radomskiej (sukno granatowe, czarne i białe, kort i szewiot czarny, kort graniasty, kurty sagatowe „bręzichy“ (spódnice) itd.). Tkacz Ignacy Michalski z Kożuchowa usiłuje nawet walczyć z przemysłem wielkim, wyrabia bowiem chodniki i portyery. Podobno ci rękodzielnicy nieznamirowscy mają tak liczne zamówienia, że im podołać nie mogą. Praca rozproszona pojedyncza, nieposiadająca żadnej organizacyi zbiorowej, nie pozwala im rozszerzyć produkcyi i zaspokoić potrzeb spożywców.

Bardzo ciekawe są zbiory etnograficzne p. Szczęsnego Jastrzębowskiego; „pisanki“ wielkanocne z gub. Radomskiej, rózgi weselne, wieńce dożynkowe, czapeczki dziecinne, „pająki“ ze słomy i włosia, wyroby tkackie, łopaty do chleba, mędlice, cierlice itd.

Namówiono także do udziału w wystawie garncarzy iłżeckich. Niegdyś Iłża słynęła z tego przemysłu. Jeszcze nawet niezbyt dawno było tam 80 majstrów. Dziś jest trzydziestu garncarzy; każdy z nich ma obrotu 400—600 rb. rocznie, a czystego zysku 200—300. Mieliby niewątpliwie więcej, gdyby potrafili przemysł ten pokierować racyonalniej, tj. połączyć się w spółkę i zamiast pojedynczych pieców pierwotnych stworzyć fabryczkę. Obecnie praca rozproszona nie może zaspokoić potrzeb; przytem zależą oni od Żydów skupywaczów, którzy nabywają hurtownie garnki i inne przedmioty do miasteczek. Podczas żniw garncarze iłżeccy mają najwięcej roboty, gdyż wtedy wzrasta popyt na garnki, używane w polu. Wogóle jednak mają one coraz mniejsze powodzenie, gdyż, jak nas objaśnia garncarz na wystawie, wypierają je „żelezniaki“ fabryczne, praktyczniejsze i trwalsze. Natomiast wzrasta popyt na przedmioty ozdobne: dzbanki do kwiatów, kubki itd. Niektóre z nich, zwłaszcza niepolewane, są dość gustowne i mogłyby nawet zaspokoić wymagania spożywców wybrednych. Ale na to trzeba, ażeby garncarze mieli jakieś wskazówki ludzi światłych i świadomych potrzeb inteligencyi. Wystawy prowincyonalne mogłyby zarówno im, jak i innym pracownikom przemysłu drobnego wyświadczyć wielkie usługi w tej mierze. Potrzeba tylko dobrych chęci i zabiegów. Lud jeszcze nie ma zaufania do wystaw, ma najbłędniejsze pojęcia o nich i dlatego nie chce brać udziału. Tak np. niektórzy wyobrażają sobie, że wystawa przyczyni się do opodatkowania ich, albo że okazy skonfiskuje. Trzeba przyznać, że organizatorowie działu przemysłu drobnego na wystawie radomskiej poświęcili dużo pracy. Nie zdołali jednak stworzyć całokształtu tej dziedziny, a i tych, których ściągnęli, nie oświecili dostatecznie. Tak np. szkoda, że nikt garncarzom nie poddał tak prostej myśli, ażeby specyalnie na wystawę przygotowali sporo drobnostek z napisem: „pamiątka z wystawy.“ Niewątpliwie rozchwytanoby je natychmiast.

Rozglądając się w różnych działach wystawy, widzimy znaczne luki, między innemi zupełny brak meteorologii, która przecież w rolnictwie ma wielkie znaczenie. Wszakże w Królestwie Polskiem organizacya dostrzegalni meteorologicznych rozwija się chociaż powoli lecz ciągle, dzięki czemu zebrał się już spory materyał obserwacyjny.

Stworzono na wystawie osobną sekcyę pracy kobiet. Nie wiem, jaki to zwolennik separatyzmu, wbrew logice rozwoju ekonomicznego i zasadniczym prawom gospodarki społecznej, stworzył tę sztuczną wylęgarnię popisu niewieściego. Dawniej, przed laty, takie wyodrębnienie miało większą racyę bytu. Dziś, przy rozwoju pracy zbiorowej na gruncie kapitalistycznym jest to poprostu śmieszne. W wielu gałęziach produkcyi niepodobna nawet określić, co jest pracą kobiet, mężczyzn lub dzieci. Już nie mówię o przemyśle wielkofabrycznym, ale nawet o postępowej gospodarce rolnej. Co było dawniej wyłącznie dziełem rąk niewieścich, dziś jest wytworem maszyny lub pracy zbiorowej na wielką skalę. Specyalizacya coraz bardziej zaciera tę różnicę. Niegdyś masło i sery zmonopolizowały gosposie i śmiało mogłyby się ubiegać o swój dział na wystawach. Dziś mamy wielkie gospodarstwa wyłącznie mleczarskie, a nawet spółki nabiałowe, w których pracują mężczyźni, kobiety, dzieci i maszyny pod kierunkiem specyalistów. Naturalnie w mniejszych gospodarstwach dłoń kobieca jeszcze odciska swój charakter wyłączny. Ale tego nie można uważać za stałą, niezmienną formę pracy w ogólnym rozwoju ekonomicznym. Jeżeli zaś tak koniecznie chciano wyodrębnić kobiety na wystawie radomskiej, to dlaczego np. dog p. Zdzisławowej bar. Heydlowej znalazł się w dziale psim, zamiast figurować w sekcyi pracy kobiecej obok chustek koronkowych, haftów, malowideł na porcelanie itd.? Dlaczego do tej sekcyi p. J. Rudzińska nie przeniosła z działu drobiu swego koguta, kury i dwóch kapłonów gołoszów, a p. Z. Gadycha swej pary gęsi? Jeżeli zaś miano na względzie nie wystawców, tj. firmę, lecz rzeczywiście pracę kobiecą, to dlaczego p. Augusta Leszczyńska z Gołębiowa wystawiła swoje sery szwajcarskie, które może są dziełem jakiegoś mężczyzny specyalisty, albo dlaczego p. Zdzisław bar. Heydel z Gordzienic ubiega się o nagrodę za masło śmietankowe, które zapewne robiła jego ochmistrzyni?

Bardzo skromnie się przedstawia dział naukowy, który prawie nikogo w drobiazgach pawilonu ogólnego. P. Szczęsny Jastrzębowski umieścił tam wykopaliska i narzędzia krzemienne cmentarzysk gub. Radomskiej, kafle, znalezione w fundamentach dworca myśliwskiego Jagiellonów w Jedlni itd. P. A. Karszo-Siedlewski opracował ruch własności ziemskiej w gub. Radomskiej za czas 1888—99 w tablicach graficznych, p. inż. Możdżiński z Radomia dał projekt zdrenowania pól w Policzny (sporządzony wespół z p. Pauli). Szpitalnictwo w g. Radomskiej (dr. Fidler), projekt bydlobójni (który powinien być w dziale weterynaryjnym, nieistniejącym na wystawie), wreszcie parę innych rzeczy, zaliczonych niestosownie do działu naukowego, oto i wszystko.

Wogóle wystawa radomska była najbogatszą i najlepszą w stosunku do innych prowincyonalnych, urządzonych dotychczas w Królestwie Polskiem. Panował atoli na niej pewien chaos. W znacznej części był to popis wielkopański i plutokratyczny. Całe zaś tło wystawy dało dużo znamiennych rysów społecznych, których zanotowanie może być materyałem do charakterystyki naszej kultury i etyki. Z okazyi licznego zjazdu, wypełzło na żer robactwo wszelakie. Każdy chciał zarobić, każdy obedrzeć przybysza do ostatniej nitki. W restauracyach i sklepach potrojono ceny. Nietylko przybysze, lecz nawet stali mieszkańcy Radomia musieli się poddać temu zdzierstwu. W hotelach zabrakło mieszkań, a chociaż był przez organizatorów wystawy stworzony jakiś komitet mieszkaniowy, nie zapobiegł on bezczelnemu rabunkowi. Mieszkanie wynajmowali ludzie prywatni. Za jakiś kąt warsztatu szewckiego, oddzielonego przepierzeniem, żądano po 3 rb. na dobę, za lepszą ciupę po 5. *Inteligencya* radomska (nauczyciele, urzędnicy itd.) nie wahali się pobierać po *piętnaście rubli* na dobę za pokój. Jest to rabunek bardzo pokrewny z rozbojem na drodze: I tu i tam kończy się on umową: „Złóż okup, a daruję ci życie!“ — „Zapłać ile żądam, a nie zostaniesz pod gołem niebem!“ Ludzie ci zatracili poczucie własnej godności i wraz z tak wysokiem komornem przyjmowali od swych przygodnych lokatorów napiwek — wzgardę.

Tak się zachował Radom, na progu Europy. Mimowoli przypominamy sobie wystawę rolniczą w Moskwie, gdzie nam kancelarya zaproponowała kartkę, na której mocy mieliśmy znaczną zniżkę cen hotelowych. Wstyd Radomiowi! Ale i komitet nie wystawił sobie świadectwa kultury i etyki. Zaprosił sędziów z Warszawy, którzy narazili się na stratę czasu, znaczny koszt i trudy; komitet zaś nietylko nie zajął się ich losem śród bandy rabusiów wszelakich, lecz nawet nie raczył zbliżyć się do nich i rzucić lekkiej podzięki. Korespondenci pism narzekają, że w kancelaryi nie znaleźli ani papieru, ani atramentu, że członkowie komitetu wogóle przyjęli ich lekceważąco. Nie doznałem tego, bom nie usiłował korzystać z łask i uprzejmości tych panów. Ogólny jednak w prasie chór oburzenia jest faktem bardzo charakterystycznym i świadectwem wielce niepochlebnem dla pewnej grupy wodzirejów społecznych i ekonomicznych w zaścianku. Radom jednak z wystawy może być zadowolony. Zostało tam co najmniej pół miliona rubli, w czyich rękach— o to księga ogólnych rachunków ekonomicznych nie pyta. Dla mieszkańców miejscowych i gości przyjezdnych wystawa była zarazem karnawałem, a dla naiwnych protokólistów życia bieżącego — chwilą uścisków klasowych. — Czy hrabia idzie na bal rzemieślniczy? — pyta p. Filipowicz? — Naturalnie! Mogę nie pójść na bal obywatelski, ale pójdę na rzemieślniczy, bo to mój obowiązek — odpowiada Juliusz hr. Tarnowski. I poszedł. Prosił, ażeby go przedstawiono paniom, tańczył z niemi. Co za zaszczyt! Na korespondencie z Warszawy wywarło to wrażenie niezwykłe, bo „takich tancerzy nie widziano jeszcze na balach rzemieślniczych w Radomiu.“ Tancom przypatrywały się na galeryi „panie z towarzystwa.“ Udało się do nich kilku panów z prośbą, ażeby zeszły na salę. Odmówiły. Wolały patrzyć, jak pan hrabia zabawia się w okręźne. Wszakże to dla mego rozmaitość pikantna po nudnych salonach arystokratycznych. A pan Filipowicz woła rozrzewniony: „Czemuż takich balów bywa u nas tak mało?“ — —

Zen. Piel.

ZŁOTO.

III.

Kiedy zaczęto eksploatować kopalnie złota w Australii, trudno było niezmiernie o kapitał. Świat finansowy nie dowierzał: miejscowych pieniędzy w

tych koloniach nie było, wzięto się tedy na sposób: stworzono towarzystwo akcyjne, które wydawało akcye na sumy niezwykle mało, na 1 f. sterling, aby w ten sposób przyciągnąć ludność miejscową. Każda tedy pokojówka, każdy robotnik portowy kupował taką akcyę, jak w Galicyi stawia na „kwaterno.“ Kiedy towarzystwa te poczęły wypłacać olbrzymie dywidendy — po 200 i 300 za sto — spróbowano wprowadzać te akcye funtowe, t. zw. „shares,“ na giełdy europejskie i dziś obroty niemi na paryskiej i londyńskiej dosięgają miliardów, a każde szanujące się pismo w Europie zachodniej poczuwa się do obowiązku notowania skrzętnie kursu akcyj „Simer and Jack,“ „Crown Ruf,“ „Crocsus,“ „Robinson,“ „Jumpers“ itd. Notowania zaś te są ciekawe z dwóch względów: kursa akcyj towarzystw przemysłowych uważane są za wysokie, jeżeli wynoszą 200—300% nominalnej wartości: „shary“ zaś stoją bardzo nizko, jeżeli dosięgają 200% (bywają po 500, 600, 1,000%): kursa akcyj europejskich tylko w wyjątkowych burzliwych czasach podnoszą się i opadają znacznie, kursa zaś „sharów“ bezustannie skaczą do góry i na dół o 20, 30, 50%. Trzymamy tu za puls tłumu rozszalałego gorączką złota. Przeważna część tych graczów z „rynku kafrów,“ jak charakterystycznie nazywają odpowiedni zakątek giełdy londyńskiej, wcześniej czy później straci, czeka ich los ćmy, co leci do świecy; lecz jak ćmy nie odstraszają się zgubą swych sióstr, tak i ci zapaleńcy. Natomiast matadorzy przemysłu, szczęśliwcy w rodzaju pana Cecil Rhodes, są zupełnie pewni, że miliony ich w krótkim czasie podwoją się i potroją. Przebieg sprawy jest bowiem następujący: Odkryto nową kopalnię, gdzieś na brzegach rzeki Vaal, albo Simpofo, kilku kapitalistów zakupuje od rządu lub kompanii angielskiej obszar, który chce eksploatować i na ten zakup wychodzi cały kapitał. Wówczas zostają wypuszczone akcye przez jeden z banków; część znaczna ich zostaje w ręku założycieli, na kilkaset tysięcy funtów akcye pojawiają się na giełdzie. W prospekcie podaje się sprawozdanie „znanego autorytetu naukowego X. Y.,“ które opiewa, że „kopalnia jest uniwersalną, żyły są łatwo dostępne“ itd. itd.: akcye znajdują nabywców. którzy płacą za nie po 2, 2¼, 3 funt. sterl.. tj. 200—300% nominalnej wartości, zależnie od „ogólnego usposobienia rynku,“ od napiwków płaconych prasie itd. W ten sposób powstał kapitał zakładowy. Zaczyna się operacya i pomimo że roboty zaledwie zostały rozpoczęte i produkcya jest jeszcze żadna, towarzystwo wypłaca 30—40% dywidendy; akcye idą w górę, towarzystwo wypuszcza ich resztę po 500—600% nominalnej wartości, to jest zaciąga dług na 100,000, a bierze 600,000 gotówki. W następnych latach dywidenda pozostaje również wysoką, lecz potem sprawozdania zaczynają brzmieć bardzo pesymistycznie: „nieprzewidywane trudności terenu,“ „brak sił roboczych,“ „zalew wody“ itd. Kopalnia jest na południu Afryki, akcyonaryusze siedzą w Paryżu. kto tam skontroluje! Dywidenda zmniejsza się, kurs spada do 100, 90, 80% i wtedy założyciele pospieszają zakupić akcye; teraz przedsiębiorstwo jest ustalone, kopalnia rzeczywiście daje znaczne zyski, akcye zaś są w „pewnych rękach,“ tj. w rękach pierwotnych założycieli, którzy zbogaciwszy się dzięki głuptasom awanturującym się na rynku kafrów, pobierają od tego zrabowanego kapitału umiarkowane odsetki, 15—20%.

Publiczność ostrzegano już setki razy przed tymi manewrami, lecz cóż to pomoże? Gracze odpowiadają: Paweł kupił „shary“ po kursie 400, przez trzy lata pobierał 40% dywidendy, a więc miał 10% od swego kapitału, a potem sprzedał po 500, więc zarobił grubo.“ O tem, że Piotr kupił po 500, a musiał sprzedać po 100, nie chcą pamiętać, niebożęta. „Rynek kafrów“ składa się z kafrów, to prawda. Że przytem odgrywają rolę kombinacye polityczne, rozumie się samo przez się. i można być zupełnie pewnym, że nowe zatargi pomiędzy Transwalem a Anglią są wszczynane przez owych matadorów kopalń transwalskich, przeważnie kapitalistów angielskich, którym zależyć musi na fluktuacyach giełdowych, będących skutkiem depesz o „zaostrzonem położeniu,“ lub „rękojmi załagodzenia spornej kwestyi.“ „Kafrowie“ biorą to za dobrą monetę, gorączkują się, sprzedają, kupują—i zawsze tracą, a Rhodes i spółka wiedząc dokładnie, co się święci, dają odpowiednią dyspozycyę agentom w Paryżu i Londynie — i zawsze zarabiają. Tak „nierządnica świata“ staje się tu w dosłownem znaczeniu „ziarnem niezgody między narodami.“ Nie trzeba być prorokiem, żeby przepowiedzieć los rzeczypospolitej boerów — utracą wolność, ponieważ na ich ziemi znaleziono złoto.

Tymczasem kopalnie złota rozwijać się będą na pewno, produkcya na długie lata jest zapewnioną; wzrost jest bujnym, ponieważ glebę umierzwiono dobrze: mierzwą zaś były drobne oszczędności, które przepadły na „rynku kafrów.“ Zwiększona zaś produkcya złota przyczyniła się do obecnego rozkwitu ekonomicznego; lecz kto patrzeć umie, ten wie, czem się ten rozkwit niebywały zakończy: krachem, w którym tysiące drobnych posiadaczy potraci mienie, który miliony robotników skaże na bezrobocie i nędzę. Ciężkie są rządy „nierządnicy świata.“

Dr. J. B. Marchlewski.

W DALI.

Kijów. Na zjeździe archeologicznym w Kijowie wygłoszono dwa odczyty w języku polskim. W XV audytoryum uniwersyteckiem przemawiał po polsku p. Wiktor Windyk-Wittyk z Warszawy „O pierwotnej grzywnie menniczej w Polsce i o jej samoistnym podziale.“ W sali aktowej wygłosił odczyt również po polsku dr. Feliks Kopera, delegat krakowskiej Akademii umiejętności „O polskich zabytkach sztuk w zbiorach rosyjskich.“ W d 28 b. m numizmatyk warszawski, p. Wittyg, miał drugi odczyt, tym razem po rosyjsku, o konieczności założenia w Warszawie Towarzystwa archeologiczno-etnograficznego. Wnioskodawca pragnie, ażeby Tow. warszawskie było samoistnem, albo filialnem, ale z polskiemi wydawnictwami. Przy Tow. ma być założone Muzeum archeologiczne. Członkowie XI zjazdu archeologicznego, a zwłaszcza prezes, hr. Uwarow, projekt pana Wittyga przyjęli bardzo życzliwie i postanowili wnieść stosowne podanie o zatwierdzenie Tow. archeologicznego w Warszawie w imieniu zjazdu. Prawdopodobnie XII zjazd archeologiczny zwołany będzie w Warszawie.

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

81) Czyja wina.
82) Śmierć.
83) Z przeszłości.
84) Konkurs.
85) Cudowne skrzypki.
86) Ballada północna.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W ogrodzie Saskim w Warszawie urządzona będzie zabawa na rzecz Pogotowia ratunkowego.

— Przystąpiono do opracowania projektu ubezpieczenia na życie lekarzy i felczerów w miejscowościach, dotkniętych chorobami epidemicznemi.

— Jest już prawie na ukończeniu dom przy ulicy Rakowieckiej (za rogatką Mokotowską) na pomieszczenie przytułku dla sierot-dziewcząt warszawskiego Towarzystwa dobroczynności. Gmach ten, wznoszony kosztem 80,000 rb., mieścić będzie: mieszkania służby, kuchnię, pralnię, łazienkę. Na parterze obszerne sale zajęć dla starszych dziewcząt i na piętrach sale dla młodszych, sypialnie, infirmerye i pomieszczenia dla sióstr miłosierdzia.

— Zatwierdzono ustawę stowarzyszeń kredytowych w Rypinie i Płońsku.

Szkoły. Po zamknięciu już listy studentów uniwersytetu warszawskiego, przerwano przyjmowanie podań. Studenci drugoletni, którzy jeszcze nie złożyli prośby o zaliczenie ich na rok drugi, winni to uczynić niezwłocznie, gdyż w przeciwnym razie będą zupełnie wykreśleni.

— Zarząd Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej w Warszawie postanowił niezależnie od zwykłych zajęć w salach rysunkowych zaprowadzić dla kobiet specyalny kurs rysunku kompozycyjnego. Termin otwarcia tego kursu zależny jest od zapisu odpowiedniej liczby kandydatek. Kierunek działu nowego obejmie p. Marya Zarembianka. Opłata 2 rb. miesięcznie.

— Na rozwój gimnazyów i progimnazyów żeńskich ministeryum stara się o kredyt dodatkowy 150,000 rb.

— Postanowiono zmienić stawianie stopni uczniom szkół średnich w sposób następujący: 1) aby stopnie, stawiane codziennie na lekcyach, nie obowiązywały nauczycieli: 2) aby gospodarze klasowi o niedostatecznych postępach ucznia zawiadamiali rodziców przynajmniej raz na dwa tygodnie, na zasadzie prowadzonych w tym celu dzienników, w których należy wskazać, co jest przyczyną nagany i 3) aby za pierwsze trzy kwartały stopnie były stawiane na zasadach dotychczasowych, w czwartym natomiast kwartale za cały rok.

Sztuka. W salonie Krywulta otwarto wystawę „Koła artystek polskich,“ w której wzięło udział przeszło 30 malarek i rzeźbiarek.

Tanie kąpiele. Ze względu na bezpieczeństwo i przyzwoitość publiczną, postanowiono wybudować w r. b. na Wiśle omnibusy, w których będzie się mogła kąpać ludność uboga za opłatą po 1 kop. od osoby.

Zdrowie publiczne. Po śmierci dr. Konrada Chmielowskiego dyrektorem Nałęczowa został dr. Arkadyusz Puławski.

— We Lwowie panuje epidemicznie tyfus brzuszny. Dotychczas zachorowało przeszło 50 osób. Przebieg choroby ciężki.

Koleje i komunikacye. Rozpoczęto budowę nowej kolei wązkotorowej Jabłońsko-Wawerskiej. Na czele jej stoją pp.: Stefan ks. Lubomirski, Tomasz hr. Zamojski i inż. Karol Bohuszewicz.

Wystawy i zjazdy. Stała wystawa prób i wzorów w gmachu Muzeum przy Towarzystwie przemysłu i handlu w Warszawie będzie zwinięta 1 paździer[illegible]

Przemysł i handel. Ogłoszenie ustaw towarzystw przemysłowych w „Zbiorze praw“ nieraz wielce się opóźnia z powodów technicznych, tak że założyciele, zebrawszy często kapitał zakładowy, muszą długo czekać na ukazanie się ustawy w druku. Pragnąc temu zapobiedz, ministeryum skarbu wyjaśniło, że nie widzi żadnych przeszkód do otwierania tych towarzystw i spółek. nie czekając na ogłoszenie ustaw w „Zbiorze praw.“ Na mocy tego wyjaśnienia Bank państwa przyjmować będzie wkłady uczestników na kapitał zakładowy. Jest to niezmiernie ważne uproszczenie, które może wpłynąć na szybszy rozwój przemysłu.

Katastrofa. W Łęczycy podczas uroczystego nabożeństwa w synagodze wszczął się popłoch skutkiem stłuczenia lampki naftowej. Przerażeni Żydzi rzucili się do drzwi i stratowali na śmierć 33 osoby.

Odpowiedzi Redakcyi.

N 0,5. Jest to bardzo słaba próba, niezdradzająca wcale talentu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Сентября 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka